MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XV. Nr. 22. (21 skonfiskowano) WARSZAWA, 26 MAJA 1935 R. CENA NUMERU 80 GR.

TRZECIA REPUBLIKA WE FRANCJI

ZNANY pisarz polityczny francuski Jacques Bainville, po książkach poświęconych historji Francji i Napoleonowi, napisał rzecz nową — dzieje trzeciej republiki („*La Troisième République*", 1870 — 1935). Nie jest to szczegółowy opis wydarzeń, lecz synteza poglądów autora na omawiany okres dziejów.

Bainville należy do założycieli obozu „*Action Française*", nie jest tedy admiratorem ustroju republikańskiego. Interesuje go jednak fakt tak długiego — bo liczącego zgórą 60 lat — istnienia republiki francuskiej. Stara się fakt ten wyjaśnić i odnaleźć jego przyczyny.

Słusznie zastrzega się w przedmowie, że zrozumieć dzieje trzeciej republiki we Francji będzie mógł tylko ten, kto będzie mógł się zapoznać ze sprawozdaniami konwentów masońskich, lecz nie uwzględnia — jak nam się wydaje — dostatecznie tego wszystkiego, co dziś już wiadomo o lożach i ich roli w życiu politycznem Francji.

Odpowiedź Bainvillea na wskazane powyżej pytanie sprowadza się ostatecznie do tego, że naród francuski posiada taki zasób zdrowego sensu, iż nawet tak niedorzeczny ustrój, jak republikański, nie mógł go przyprawić o śmierć. Dowodzi tedy Bainville, studjując dzieje trzeciej republiki, że kierownicy jej odznaczali się zawsze wielkiem umiarkowaniem i zdrowym konserwatyzmem. Byli bardzo radykalni, gdy chodziło o dokryny, lecz bardzo powściągliwi, gdy chodziło o sprawy finansowe, gospodarcze lub też z dziedziny polityki zewnętrznej. Zrodził się nowy ustrój jako monarchja z prezydentem na miejsce króla, boć konstytucja francuska, uchwalona przez monarchistów, była zrobiona w przewidywaniu, że rychło monarchja zastąpi republikę. Później przez długie lata były rządy w rękach żywiołów, stojących na straży interesów wielkiego mieszczaństwa. Gdy zaś doszli do władzy (po „rewolucji" dreyfusowskiej) radykali, to i oni zachowali umiar i ostrożność, gdy chodziło o rzeczy życia praktycznego...

Zapewne, Francuzi mają rozum i zdrowy sens w głowie, lud francuski zaś posiada stare właściwości rasowe, zdrowe instynkty i ducha żołnierskiego, które to cechy ujawniają się na powierzchni w chwilach krytycznych. Wystarczy przypomnieć ostatnią wojnę, w czasiej której żołnierz francuski wykazał tak wielkie zalety...

Lecz to wszystko — zdaniem naszem — nie wystarcza do wytłumaczenia długowieczności ustroju politycznego Francji współczesnej. Należałoby — jak nam się wydaje — wskazać na dwie rzeczy: na istnienie kośćca tego ustroju w postaci wolnomularstwa i na takie urobienie umysłowości ludu francuskiego, które sprzyja trwaniu republiki, mimo że dziś nikt nie jest już do niej przywiązany i nikt nie wierzy w jej doskonałość.

Trzeba twierdzenie powyższe wyjaśnić nieco dokładniej. A więc po pierwsze: organizacja społeczna trwała nie może istnieć bez oligarchji, która sprawami jej kieruje. „Demokracja" francuska dawno jużby była pozbawiona własnego państwa, gdyby miejsca monarchji i arystokracji rodowej nie była zajęła oligarchja sekty masońskiej. Republika jest dziełem masonerji, a ustrój republikański koniecznym warunkiem dzierżenia przez masonerję całkowitej władzy w swem ręku. To ścisłe i konieczne współżycie i współistnienie republiki i masonerji tłumaczy długowieczność ustroju republikańskiego. Koniec rządów masonerji we Francji byłby końcem republiki, a koniec republiki — końcem rządów lóż. Oto właściwa odpowiedź na pytanie, postawione przez Bainville'a. To, które on daje w swej książce, jest tylko cząstkowe i nieuwzględniające istoty rzeczy.

Lecz — powie ktoś — czyżby garść masonów mogła utrzymać w więzach cały naród? Na to odpowiemy — może to zrobić dzięki temu, że przez szereg dziesiątków lat wytrwałej i umiejętnej pracy masonerja tak urobiła umysłowość francuską, iż godzi się ona z istnieniem sekty, oraz tak oddziałała na duszę francuska, że znosi rządy

tajnej oligarchji. Masonerja walczyła nie darmo z Kościołem i z duchem żołnierskim. Usuwała ona konsekwentnie i uporczywie wszystko, co było sprzeczne z jej ideologją, a ideologja ta streszcza się w jednem słowie — materjalizm. Stawała zawsze w obronie jednostki przeciw interesom zbiorowości, a prawa jednostki przeciwstawiała obowiązkom wobec zbiorowości. Wybujałość indywidualistyczna i zmaterjalizowanie szerokich sfer narodu francuskiego umożliwiają lożom rządzenie państwem wbrew rzeczywistym dziejowym interesom Francji.

Zdrowy instynkt buntował się przeciwko temu już kilkakrotnie — bulanżyzm, walka w okresie sprawy Dreyfusa, wypadki 6 lutego roku zeszłego — wszystko to są odruchy instynktu narodowego przeciwko rządom lóż. Istnieje zorganizowany obóz, przeciwstawiający się stanowczo i zasadniczo ideologji i organizacji masońskiej — monarchiści. Lecz nie mieli oni dotychczas dostatecznego wpływu na opinję i dostatecznych sił, by wypowiedzieć decydującą walkę lożom...

Jeżeli chodzi o sprawy polityczne, trudno bardzo być prorokiem. Wszelako ze znajomości teraźniejszości i przeszłości można wyprowadzać pewne wnioski co do przyszłości. Dlatego to sądzimy, że zapoznanie się z książką Bainville'a zalecić można tym wszystkim, którzy chcieliby sobie wyrobić własny pogląd na drogi polityki francuskiej. A to tembardziej, że posiada ona wszystkie zalety dzieł tego pisarza, który zajmuje jedno z pierwszych miejsc wśród piszących o polityce i zagadnieniach z nią związanych, który przez książki wymienione na początku zdobył sobie stanowisko w dziejopisarstwie i literaturze Francji współczesnej.

STANISŁAW KOZICKI

O NOWEJ KONSTYTUCJI

UKAZAŁA się bardzo na czasie książka dra Antoniego Chmurskiego p. t. „Nowa Konstytucja" [1]). Autor opracował krytycznie tekst uchwalonej świeżej Konstytucji i zestawił ją z Konstytucjami państw innych tego samego typu.

Książka Chmurskiego, poświęcona sprawie tak aktualnej, niewątpliwie zyska dużą wziętość, na którą zupełnie zasługuje.

Nowa Konstytucja, według autora, nie jest naprawą ustroju istniejącego, ona go obala i zakłada fundamenty pod nowe państwo. W miejsce państwa demokratycznego, indywidualistycznego, ma teraz powstać nowy, typ ustrojowy: państwo jednolite, korporacyjne, wszystko obejmujące.

Na czele nowej Konstytucji zamieszczono, że Państwo Polskie jest wspólnem dobrem wszystkich jego obywateli. Wspólność ta tyczy się jednak tylko obowiązków, ale nie praw. Prawa zarządu wspólnem dobrem posiada w pełni tylko Prezydent Rzeczypospolitej, reszta wspólników może wyrazić tylko swoją opinję przez przedstawicieli w Sejmie.

Ze wspólności w ten sposób rozumianej nie trudno już wyprowadzić, za wzorem faszyzmu włoskiego i niemieckiego narodowego socjalizmu, dalsze konsekwencje: wspólność poglądu na świat i upaństwowienie poglądu stronnictwa rządzącego. Nowa Konstytucja nie określa źródła władzy państwowej, a przecież należało uzasadnić, na jakiej podstawie jednostka rządzi całym narodem. Nowa Konstytucja w art. 10 nie żąda od obywateli działania zgodnego z prawem lecz zgodnego z celami Państwa, innemi słowy — z racją stanu.

Prawo stanowi objektywną normę działania, ale państwowa racja stanu ma charakter subjektywny, zależy bowiem od każdorazowych zmiennych potrzeb chwili i od poglądu na nie rządzących. Zasada powyższa wyraża więc względność prawa i urządzeń prawnych. Prawo przestaje być podstawą porządku prawnego, a praworządność cechą istotną ustroju państwowego. Nowa Konstytucja zrywa z ogólnie przyjętą zasadą podziału władz i przyjmuje zasadę wprost przeciwną: jednostkość i niepodzielność władzy. Postanowienia o Prezydencie Rzeczypozpolitej należą do najważniejszych postanowień nowej Konstytucji. Uprawnienia osobiste Prezydenta Rzeczypospolitej wymienia art. 13. Z uprawnień tych wynika, że w osobie Prezydenta skupia się jednolita i niepodzielna władza państwowa, tak w zakresie ustawodawstwa, jak i władzy wykonawczej, jak wreszcie sądownictwa. Jego wola, jako najwyższa w każdej dziedzinie, decyduje. Wobec uprawnień powyższych stanowisko Prezydenta nie jest już stanowiskiem pierwszego obywatela, jakim chcą go mieć konstytucje republikańskie, lecz raczej jest stanowiskiem monarchy absolutnego. Za losy Państwa ponosi odpowiedzialność tylko wobec Boga i historji. Urzeczywistnienie tej odpowiedzialności wobec Boga może nastąpić tylko przed Sądem Boskim, który nie należy do tego świata, a Trybunał Historji, w którym sędziami byłyby przyszłe pokolenia, znany jest tylko jako figura retoryczna.

Stanowisko Izb Ustawodawczych w nowej Konstytucji uległo zasadniczej zmianie.

Ponad Sejmem i Senatem postawiony został Prezydent Rzeczypospolitej, jako Zwierzchnik i Czynnik Nadrzędny. Do niego należy władza jednolita i niepodzielna. Sejm i Senat nie sprawują więc żadnej władzy. Wykonywają tylko pewne, ściśle określone funkcje. Utraciły swój charakter dotychczasowy zasadniczego organu państwowego. Przestały być w gruncie rzeczy organem politycznym, stały się organami o charakterze raczej technicznym, w pozostawionym im przez Prezydenta Rzeczypospolitej lub jego Rząd zakresie stanowienia prawa, ustalania budżetu i kontroli nad Rządem. Najwyższa Izba Kontroli ma podlegać nie Sejmowi lecz Prezydentowi (art. 3), zwierzchnictwo Prezydenta nad Najwyższą Izbą Kontroli równa się faktycznie zwierzchnictwu nad nią Rządu. Kontroler został podporządkowany kontrolowanemu.

Granicą wolności obywateli jest dobro powszechne (art. 5). Granicę tę będą zakreślać organy administracyjne, które całkiem ogólnikowe pojęcie dobra powszechnego mogą tłumaczyć według swego uznania. Nowa Konstytucja jest, według zdania autora, konstytucją monarchji absolutnej, konstytucją dyktatury bez dyktatora.

---

[1]) Warszawa 1935. Skład główny u Gebethnera i Wolffa. Str. 287.

Ustrój włoskiego Państwa faszystowskiego i niemieckiego narodowo-socjalistycznego opiera się na organizacji partyjnej, a organizacja partyjna na autorytecie przywódcy. W Polsce partji, któraby posiadała organizację i program ideowy, podobny do organizacji i programu ideowego czyto faszystów włoskich, czyto niemieckich socjalistów narodowych brak. Brak też dziś już organizatora i Wodza, będącego odpowiednikiem szefów wspomnianych ruchów zagranicznych. Brak więc podstawy do organizacji Państwa, któraby mogła być oparta na zasadzie przywództwa i rządach mniejszości.

Autorowie Konstytucji widzą w niej twór oryginalny myśli politycznej polskiej, trudno jednak z poglądem tym się zgodzić.

Duchowi polskiemu *absolutum dominium* było zawsze obce. Naród Polski odznaczał się zawsze gorącem umiłowaniem wolności. Odznaczał się także głębokiem poczuciem prawa i niechęcią do wszelkiej przemocy.

SKONFISKOWANO

GUSTAW ZABŁOCKI

GENTRY

KLASY SPOŁECZNE, w przeciwieństwie do stanów, są płynne i otwarte, ale w tej ich płynności mogą być najrozmaitsze gamy — od zupełnego niemal zamknięcia granic, jak to jest z ziemiaństwem, aż do ich jaknajszerszego otwarcia, jak to jest z jego społeczną bliźniaczką— *gentry*. Niema chyba klasy społecznej bardziej nieokreślonej w swym składzie jak *gentry*, — i jeśli ziemiaństwo wyobrazimy sobie jako pole, otoczone dosyć szczelnym płotem, w którym tylko gdzieniegdzie są dziury i przejścia — to *gentry* będzie takiem samem polem, ale zgoła rozgrodzonem i o granicach bardzo trudnych do określenia.

Ten stan rzeczy uzmysławia nawet doskonale i sama sprawa nazwy tej klasy społecznej, o jakiej mowa. O ile pojęcie ziemiaństwa ma swoją treść wyraźną, w której ramach niema miejsca na żadne nieporozumienia — o tyle szlachta miejska nawet nazwy swojej nie ma, bo właściwie nie jest nią przecież ten mój termin — *gentry*, jaki wziąłem sobie w braku lepszego, dosłownie „z kiepska po węgiersku". Ale skoro coś istnieje, to trzeba to jakoś nazywać, a pewna mglistość i nieokreśloność zjawiska nie może nigdy być powodem jego negowania, co byłoby zbyt wygodnem uproszczaniem problemów.

Na nazywanie tej klasy mamy do wyboru dwa słowa—*gentry* i „inteligencja", oba obce i zapożyczone nie bezpośrednio, ale z kołowaniem. Pierwsze — angielskie, znaczenie takie jakie ja mu nadaję — ma w węgierskim. Drugie francuskie — znaczenie polskie ma takie jak w rosyjskim. Jedno i drugie u siebie w domu znaczą coś innego: *Intelligence* coś całkiem innego, *gentry* coś podobnego, ale jednak niezupełnie to samo,— w obcych językach nabrały więc nowej, specjalnej treści, dzięki której z kolei i do nas zawędrowały. To poszukiwanie określeń wskazuje odrazu, że nazwa *gentry* jest tworem, który ma analogję tylko na Węgrzech, a dawniej miał jeszcze i w Rosji, przyczem ta druga analogja była rzeczywiście tylko podobieństwem, podczas gdy pierwsza (o ile jakiekolwiek zjawiska społeczne mogą być identyczne) niemal tożsamością. Dlatego też wolę używać terminu *gentry*, tembardziej, że słowo „inteligencja", używane u nas, wyraża już pewną treść i ma swoje znaczenie, dużo szersze od tego, które podsuwam dla *gentry*. Żydowski adwokat jest niewątpliwie inteligentem, ale nigdy nie należy do *gentry*, tak samo jakiś piszczyk biurowy, który skończył szkołę powszechną, czy parę klas gimnazjalnych, a może nawet i ma maturę; tak samo kupiec, czy ktoś tam jeszcze z „inteligentnej", jak to się mówi, rodziny; — słowem „inteligencja" jest pojęciem o wiele szerszem, niż *gentry*.

Co to jest *gentry*? — Trudno na to pytanie odpowiedzieć: — szlachta miejska? — termin zbyt archaiczny; ziemiaństwo miejskie? — zgoła dziwaczny, ale bodaj czy nie najprawdziwszy, bo to ta właśnie warstwa, która, żyjąc w mieście, pozostała wierna ideom cywilizacyjnym wsi i dworu polskiego. Zresztą mniejsza o określenia, bo warstwa społeczna określa się przedewszystkiem tem, że jest, — samym swoim składem osobowym i funkcją społeczną, jaką w życiu narodu spełnia. To właśnie są te czynniki, których rozważenie wytłumaczy nam, czem jest *gentry*, o wiele doskonalej, niż jakiekolwiek objaśnianie *a priori*.

A więc przedewszystkiem — skład osobowy. Ta sprawa jest prosta, *gentry* to ta część ziemiaństwa, która z tych czy innych przyczyn musiała opuścić wieś i przenieść się do miasta. Powody tego najrozmaitsze, od zwyczajnych działów i spłat rodzinnych, aż do konfiskat, czy prostego „przeputania" ojcowizny. A że ci ludzie mieli bogate tradycje, wyraźnie zaznaczony typ ideowy, że szli masą i że miasto było od nich słabsze duchowo — ratowali łatwo swą odrębność i stworzyli nową grupę społeczną. Od prawdziwego miasta odcięli się tem, że mieszczaństwem być nie chcieli, że mieli wrodzony wstręt do „łokcia i miarki", który w większości wypadków nie był nawet żadnym snobizmem, ale prostą niezdolnością kalkulowania i spekulowania ludzi, zdawien dawna karmionych kultem bezinteresowności i poświęcenia, lubiących szeroki gest, że to „znaj pana!" — Ci ziemianie bez ziemi stanowili więc coś, czemu miasto musiało dać chleb, ale co właściwie z miastem i jego życiem pobratać się nie umiało.

Tu odrazu przechodzimy do drugiej sprawy— funkcji społecznej, do jakiej pełnienia w życiu narodu *gentry* została powołana, a bez której w osobną klasę społeczną nie mogłaby się nigdy przetworzyć. Żeby bowiem chęć nieroztopienia się w mieście mogła być urzeczywistniona — musiały istnieć sprzyjające warunki, pozwalające na takie wyodrębnienie się i odcięcie od mieszczańskiego życia.

Te warunki istniały. Miasto jest wielkim zbiornikiem ludzi i dla tych ludzi ma najrozmaitsze zajęcia. Obok zajęć czysto miejskich, które miasto tworzą, obok handlu i przemysłu, są też

i inne, które są miejskie tylko dlatego, że skupiska ludzkie ciągną i że pewna dążność do koncentracji jest człowiekowi wrodzona, — i te właśnie stanowiska stały się łupem *gentry*, a że zaczęli je wykonywać ludzie o pewnym wyraźnym stanowym typie — wytworzyła się nowa klasa społeczna. Może zresztą wytworzyłaby się nawet i bez tego, tak jak w dawnej Francji wytworzyła się „*noblesse de robe*" z urzędników i prawników, jak wytworzył się swoisty patrycjat Wenecji, czy jeszcze dawniej „*equites*" rzymscy, — w każdym razie miałaby troszeczkę inny charakter. Fakt faktem, że na wytworzenie się *gentry* złożyły się te właśnie dwa czynniki — ludzi i fachu.

Chodzi tu o to, że służba publiczna, prawo i wolne zawody wychowują ludzi w podobny sposób jak wieś i szlacheckość. I tu i tam wyrabia się pewien kult własnego stanu czy zawodu, pojętego przedewszystkiem jako służba pewnym ideałom, a nie jako samo szukanie chleba. I tu i tam sprawy materjalne odsuwają się na plan drugi. I tu i tam panuje przekonanie, że „*ars longa*" a „*vita brevis*", że są rzeczy nie do kupienia i nie do sprzedania, że rachunek często zawodzi, i że często nawet za słowa warto wiele poświęcić. — Zwłaszcza o ile jakaś rodzina od pokoleń dziedziczy taką służbę — państwu, prawu czy narodowi, to jej psychologja staje się również daleką od psychologji mieszczańskiej jak szlachecko-ziemiańska, z którą natomiast ma tyle wspólnego, że porozumienie się nie przedstawia żadnych trudności. — To też urząd, palestra albo nawet „bawienie się" sztuką czy poezją zawsze były uważane za odpowiednie dla szlachcica, i te fachy on wybierał, o ile on nie był ziemianinem, ani żołnierzem. Co do prawa, to stało się ono nawet specyficznie szlacheckim zawodem, do którego z reguły wprawiała się młódź ziemiańska i bez którego obejść się nie mogła. Szlachcic polski żył stale wśród „grawaminów" czy terminów „zawitych", a „*Volumina Legum*" i kompendja prawnicze były, obok herbarzy i „Żywotów" Skargi, często jedyną jego lekturą. Tak więc oddawna szły sobie te światy na spotkanie, i gdy wypychana do miasta szlachta poczuła się zagrożona w swej szlacheckości, znalazła w mieście sprzymierzeńców i obrońców w postaci tej nielicznej polskiej „*noblesse de robe*", która do niej lgnęła i z nią się łączyła, sama albo herbowna, albo później uszlachcona.

Tak więc dzięki tym wszystkim czynnikom wytworzyła się u nas jedyna w swoim rodzaju klasa społeczna, jakiej gdzieindziej nie znaleźć — bo tam, „gdzie miasto miało duże znaczenie", dana klasa stanowiła poprostu pewien szczyt mieszczaństwa, tembardziej, że nie było tego materjału wiejskiego, któryby dał jej tę treść specjalną. Ten sam proces społeczny przeszły tylko Węgry, dzięki bardzo istotnym i sięgającym samego zarania dziejów analogjom ustrojowym z Polską. Coś podobnego stało się też w Rosji, gdzie Piotr Wielki ustawowo powiązał szlachtę z urzędami. Zawsze widzimy, że cechą istotna dla *gentry* jest jej związek ze wsią, a raczej z wiejskim dworem, co jest dla niej szczególnie charakterystyczne.

Związek to bardzo realny, polegający na tem, że ci wszyscy ludzie mają krewnych po dworach, że tam widzą swój świat najbliższy, często właściwą ojczyznę. Prawie każda z rodzin *gentry* jest równocześnie w pewnej swojej odrośli ziemiańską, różnica chyba ta, że gdy jedni ze wsi przyszli do miasta, to drudzy odwrotnie z miasta poszli na wieś, w każdym razie sto czy kilkadziesiąt lat temu. Ten żywszy kontakt ze wsią jest więc powszechny, a im silniejszy ten związek z dworem, tem dana osoba jest bardziej *gentry*, bo tem bliżej stoi własnych źródeł cywilizacyjnych i własnej odrębności w młynie miejskiego życia. Stopnie tego kontaktu są najrozmaitsze, tak jak najrozmaitsze są warstewki *gentry*, jakich rozróżniać na różne sposoby można bez końca. W każdym razie wszystkie bez wyjątku mają cechy wspólne, o jakich była mowa.

To właściwie wyczerpałoby już temat artykułu, ale dla charakterystyki *gentry* należałoby jeszcze jednak dodać to, co spostrzegł już Sienkiewicz i czemu dał wyraz w „Rodzinie Połanieckich". Mianowicie do *gentry* przechodziły z ziemiaństwa jednostki najenergiczniejsze, najwartościowsze; — rodzinną schedę z reguły otrzymywał najmniej zdolny z braci, podczas gdy mądrzejsi szli szukać szczęścia w świat. To pozwoliło *gentry* godnie wypełnić jej misję kulturalną, współkierowniczki narodu i wychowawczyni nowych warstw. Nasza kultura XIX wieku cała usiana jest nazwiskami *gentry*, a zaczęło się to już bardzo wcześnie, bo gdy weźmiemy takich trzech wieszczów, to reprezentują oni trzy odłamy szlachty: Krasiński — magnatów, Mickiewicz — ziemiaństwo, a Słowacki — *gentry*, skoro zaś dołączyć tu Norwida, to *gentry* zajmie aż dwa niepoślednie w panteonie narodowym miejsca, a nawet kto wie czy nie trzy, bo bodaj że i Mickiewicza należałoby również za przedstawiciela *gentry* uważać.

KAROL STEFAN FRYCZ

„FHUT DO ŻYGAŁMISZCZA"

NIEDAWNO obiegło prasę polską oświadczenie profesorów i docentów historji literatury polskiej w sprawie projektowanych zmian w ortografji, podpisane przez kilkunastu wybitnych uczonych z Brücknerem, Chrzanowskim i T. Grabowskim na czele. Uczeni protestują przeciwko wszelkim radykalnym zmianom w ortografji polskiej, zaś mianowicie przeciw zniesieniu różnic pomiędzy znakami: *u — ó*, *ż — rz*, oraz *h — ch*, zaś protest swój opierają na trzech argumentach, które tu w ich zasadniczej podaję osnowie:

„Po pierwsze: rzekome trudności ortografji polskiej są znikome w porównaniu z trudnościami pisowni francuskiej czy angielskiej, a jednak Francuzi ani Anglicy — narody reprezentujące najwyższy typ kultury zachodnio-europejskiej — napewno nie kwapią się do jakichkolwiek reform ortograficznych w głębokiem zrozumieniu, że ewentualnie osiągnięty zysk dydaktyczny nie zrównoważyłby ogromnych strat, na jakie zostałaby narażona ciągłość narodowej kultury. Gruntowna zmiana formy graficznej, dokonana obecnie, musiałaby słusznie prowadzić do wniosku, że jesteśmy narodem parwenjuszy bez tradycji i kul-

tury, który dopiero teraz ustalać musi swoją ortografję".

„Po drugie: ...Trzeba sobie zdać sprawę z tego, że szata graficzna słowa nie jest rzeczą czysto „zewnętrzną", że skojarzyła się ściśle ze znaczeniem słów, z ich myślową i uczuciową zawartością, że więc nie może im być bezkarnie odebrana. Burzy się przeciw temu i przywiązanie uczuciowe do pewnych form i poczucie estetyczne i przyzwyczajenie wreszcie". ...„Książki, drukowane dotychczasową ortografją, staną się całkowicie obce już pierwszemu pokoleniu młodzieży, poznającemu język polski według zasad tak radykalnie zmienionej ortografji".

„Po trzecie: Przyjąwszy tezę zwolenników radykalnej reformy ortograficznej, że pisownia nie jest sprawą naukową, lecz kwestją umowy, należy zauważyć, że umów, istniejących już oddawna i wrosłych w świadomość społeczną, nie wolno zrywać nagle bez powszechnej aprobaty oświeconych sfer społeczeństwa. W dziedzinie ortograficznej nie robi się też tego nigdzie w Europie cywilizowanej. Co najwyżej możliwe są, a czasami konieczne zmiany, nie naruszające podstawowego charakteru ortografji".

Niewątpliwie — każdy z trzech argumentów powyższych ma swoją wartość, i należy je włączyć do arsenału obrony polskiej przeciw zakusom rozbestwionego żydostwa, które z za kulis tą zamierzoną reformą ortografji kieruje. Trzeba jednak przyznać, że żaden z tych argumentów nie posiada znaczenia podstawowego, a strona przeciwna może z łatwością obalić je, czyniąc tem samem dotkliwe w świadomości ogółu polskiego spustoszenia. Bo jakże będzie wyglądała sprawa, której nie zdołali obronić najwybitniejsi znawcy jej i zawodowcy?

Wobec tego, jakkolwiek nie jestem zawodowcem ani znawcą przedmiotu, czuję się w obowiązku podać społeczeństwu polskiemu jeszcze dwa w tej sprawie dowody, których, mojem zdaniem, żadna argumentacja przeciwna obalić nie zdoła. Pierwszy mój dowód oparty jest na wymowie, a drugi — na rodowodach i pokrewieństwach słów języka polskiego.

Na wymowie opiera się, oczywiście, i owa „Komisja", tak gwałtownie ortografję reformująca. Chodzi zatem o drobny szczegół podmiotowy: do czyjej mianowicie wymowy ma być dostosowana ortografja języka polskiego? Sam zamiar owej „Komisji" utożsamienia znaków pisarskich na dźwięki tak różne jak *u* i *ó*, jak *ż* i *rz*, jak *h* i *ch*, świadczy wyraźnie, że „Komisja" opiera się nie na polskiej, lecz na jakiejś wymowie cudzoziemskiej. I tak jest istotnie, a zamiary „Komisji" dawno już w miastach polskich w praktyce są stosowane. Dam jeden przykład typowy.

Na wiele lat przed wojną światową, w Pińczowie, niebardzo podłem mieście, istniał pośród stu innych mały sklepik żydowski z takim na szybie brudnej, białą farbą wymalowanym, napisem: „Fhut do Żygałmiszcza".

Był to jedyny na całe miasteczko zegarmistrz, u którego, zresztą, można było kupić śledzia i makagigę, gwoździ i ołówek, kwartę nafty i dwa łokcie perkalu. Czy polscy pińczowianie mogli byli wówczas przewidzieć, że ten wszechstronny starozakonny jest zarazem jednym z ojców głębokiej reformy w ortografji języka polskiego? Reformy opartej na wymowie? Jest—to wprawdzie wymowa swoista, o czem świadczy jej żargon, z języka niemieckiego urobiony, ale cóż tu wytykać swoistość tym, którzy już po panowanie nad Polską sięgają?

Otóż, jak widzimy, ortografja oparta na wymowie, może prowadzić bardzo daleko, bo aż do utworzenia nowego niemal języka, a w każdym razie — do żargonu. Stąd wniosek, że Polacy w obronie swojego języka powinni z naciskiem zaznaczać, że ortografię jego chcą i mają prawo opierać na polskiej mianowicie wymowie, a nie na wymowie wogóle, żadnym przymiotnikiem nie oznaczonej.

A gdy ortografię własnego języka Polacy na własnej a nie cudzej oprą wymowie, to jasno okaże się, że muszą być nadal utrzymane dotychczas istniejące znaki, osobne na dźwięki *u*, *ż* i *h* a osobne na *ó*, *rz* i *ch*. Dźwięk *u*, jak wiadomo, jest krótki, tępy i wyraźny, zaś *ó* — jest długi, elastyczny i chylący się ku dźwiękowi *o*. Dźwięk *ż* jest czysty i jasny, zaś *rz* — jest zmącony domieszką lub echem dźwięku *r*. A wreszcie dźwięk *h* jest gardłowy, a dźwięk *ch*—oparty na przedniem podniebieniu.

Drugim podstawowym dowodem na słuszność dotychczasowej ortografji dźwięków omawianych jest jej dokładna zgodność z licznemi w każdym wypadku rodzinami słów pokrewnych. Jeżeli nie w pamięci i świadomości za każdym razem, to napewno w poczuciu i w podświadomości każdego Polaka zawsze każde słowo jego mowy związane jest z pewną, mniej lub więcej liczną gromadą słów pokrewnych, czy to w języku polskim urodzonych, czy dziedziczonych, albo przyswojonych skądinąd. Otóż ortografja dźwięków tu omawianych zadziwiająco trafnie pokrewieństwa te ukazuje. Usunięcie tych wskazówek z ortografji zabiłoby odpowiednie poczucia u narodu, a wtedy w mowie jego musiałby nastąpić rozpad, martwota i zgon.

Język polski nie jest tworem sztucznym, ani przybłędą z krain niewiadomych, ale należy do licznej rodziny języków indo-europejskich, a w rodzinie tej jest jednym z najbogatszych i najpiękniejszych jej dziedziców. Ortografja dźwięków, o które nam tu chodzi, zachowuje w czystości rysy biologiczne (jeśli tak wyrazić się wolno) i historyczne języka polskiego, a to w sposobie, w jakim rysy fizyczne i duchowe każdego człowieka, oprócz przeżyć jego osobistych, ukazują nam historję jego rodu, narodu i rasy.

Dla przykładu, żeby wiadomo było, o czem mowa konkretnie, wspomnę, że dźwięk *h* w danych słowach kojarzy je bezpośrednio z określonemi gromadami słów polskich, rosyjskich, francuskich, łacińskich, greckich, sanskryckich i t. d., zaś dźwięk *ch* w innych słowach kojarzy je z całkiem innemi gromadami słów polskich i obcych, a przytem *h* spokrewnia się z jednemi dźwiękami (jak *g*, *j* i *ż*), podczas gdy *ch* spokrewnia się z całkiem innemi dźwiękami (jak *c*, *k* i *sz*), a we wszystkich tych pokrewieństwach niema nigdy wypadku pomieszania jednego szeregu pokrewieństw z drugim. Jest to poprostu cudowne prawo przyrodzone, któremu na całym obszarze języka człowiek w mowie swojej i wymowie bezwiednie ulega. Ściśle to samo dotyczy dźwięków *ż* i *rz*, oraz *u* i *ó*.

Na ten temat możnaby cały tom przykładami

i rozważaniami zapełnić, tom tak ciekawy i porywający, jak najżywsza powieść sienkiewiczowska. Nawet kilkoma krokami nie będę tu rozpoczynał przechadzki po tej puszczy nieprzebytej, puszczy godnej wypraw myśliwskich, naukowych i artystycznych. Zaznaczę tylko, że odcięcie się od niej żelbetowym murem sztucznej, a przytem—niezgodnej z polską wymową ortografji, byłoby głupotą, i zbrodnią, na którą mogą się zdobyć tylko durnie i żydzi.

Każdy mi przyzna, że dwa tu podane dowody na słuszność dotychczasowej dla omawianych dźwięków ortografji są podstawowe i niczem obalić się nie dadzą. Rzeczą teraz główną jest tylko silna wola i charakter w uwolnieniu się Polaków od bezczelności żydowskiej, która zaczyna już w kulturze, ba! nawet w duszy polskiej gospodarować. Jak można słabemi argumentami słusznej sprawy bronić! Jak można niedomawiać, zamilczać, przemilczać w sprawie tak jasnej i prostej!? Kiedyż nareszcie obok słuszności siła w Polakach przemówi!?

Trzeba być silnym!

STANISŁAW PIEŃKOWSKI

NORWIDJANA I

GARŚĆ LISTÓW C. NORWIDA

Podał STANISŁAW PIGOŃ (Ciąg dalszy)

4. DO F. A. BROCKHAUSA

5 Mai 1866

Monsieur,

Je ne puis encore répondre à Votre dernière lettre. Veuillez avoir la bonté de faire parvenir mon manuscrit intitulé *Vade-mecum* à l'honorable J. I. Kraszewski à Dresde selon son adresse.

Je ne tarderai pas, Monsieur, d'avoir l'honneur de ne pas laisser sans une réponse Votre dernier écrit et je Vous prie agréer les profondes mes sentiments, très humbles et très respectueuses. Votre

1866, Paris. C. Norwid

[Adres]: A Monsieur Brockhaus, Libr. Editeur.

Uwaga wydawcy: List zachował się w Bibl. Jag. wśród korespondencji Kraszewskiego (III 63); Nie był zatem doręczony Brockhausowi. Jest to jeden z wielu kroków podejmowanych przez poetę w celu uratowania cyklu poetyckiego *Vade-Mecum*, cyklu, który sobie Norwid wysoko cenił.

5. Do J. I. KRASZEWSKIEGO

[Maj 1866 r.]

List otwarty do Brockhausa, gdyby nie miał być użytym, winien być spalony.

Ufam sumienności Twej, że albo wcale, albo serjo i skrzętnie raczysz się tego dotknąć. *Vade-mecum* jest treści, których się nie rozczytywa przed publikacją i lada komu.

Vade-mecum, 100 paragrafów (osobno) nie sprzedam jak za 200 (dwieście) franków, 30 egzemplarzy dla mnie, — i przesyłanie każdego arkusza dla korekty; albowiem są rymy tej natury, że wielkiej wymagają poprawności, a nawet może i niejakich złagodzeń przez odsyłacze.

Rue Lallier 3, près Martyrs Paris

Cyprjan Norwid

Uwaga wydawcy: Tekst (Bibl. Krasińskich rkp. nr. 5148) na bilecie wizytowym bez adresu i bez daty. Jedno i drugie da się ustalić z listu poprzedniego, z którym niniejszy wiąże się bezpośrednio. W sprawie *Vade-Mecum* istnieje drugi list Norwida do Kraszewskiego z tegoż czasu. Prosi tam poeta, by Kraszewski odebrał cykl od Brockhausa i sprzedał za 200 fr., podkreśla, że do poezyj tych przykłada wysoką miarę, bo je opracował „na głębiach prawd i bogactw języka" (zob. *Echo Liter.-Artyst.* 1912, I 156).

6. DO WŁADYSŁAWA MICKIEWICZA

[1868]

Wielmożny Panie Dobrodzieju!

W charakterze Pańskim, jako wydawcy, posyłam Mu te słów parę: Pańska „Bibljoteka" zowie się popularną. Zaiste, nic popularnego nigdy nie drukowano z pism moich, dla powodów, których długi jest szereg, a przedostatnim powodem jest i to, że nic popularnego nie chciałem pisać, a nie chciałem niemniej z wielu powodów, a mianowicie, że to nie w każdej epoce jest estetycznie i to nie zawsze poczciwie. Dlatego też główny mój edytor jest nie Polak, ale Niemiec, W-ny Brockhaus; co w Petersburgu, Warszawie, Poznaniu, Krakowie, Szwajcarji, Paryżu etc. wyszło, to podrzędne jest i doraźne.

Nie idzie za tem, abym nic cale popularnego nie miał; mam niewielką komedjo-drammę w 3 aktach, rymem pisaną, a którą przyjąwszy, dwa teatra polskie nie grały, dla wymagań drobiazgowych cenzury. Rzecz tę dramatyczną (a nic pono dramatycznego w „Bibljotece" Pańskiej niema!) mógłbym powierzyć i opatrzyć stosownym o dramaturgji wstępem, gdybym znał warunki Pańskie, jakie są. Wymagającym nie jestem, ale nigdy nic swym kosztem nie publikuję, *par principe*; miałem to do zarzucenia wielkim poprzednikom moim i miewiałem im. Mnie edytor mój płacił 500 franków i 40 egzemplarzy. Swym kosztem publikować, rozsyłać, upowszechniać... to jest nieutrwalona robota i tego nie robiłem nigdy.

Łączę wyrazy głębokiego mojego poważania

Sługa

1868 — rue Lallier 3 Cyprjan Norwid

Uwaga wydawcy: Autograf w Muzeum Mickiewiczowskiem w Paryżu. List skierowany do Wł. Mickiewicza, podówczas właściciela Księgarni Luksemburskiej w Paryżu i wydawcy małej „Bibljoteczki Ludowej", przynoszącej utwory dawniejszej i nowszej literatury polskiej. Utwór, o którym Norwid tutaj mówi, to niewątpliwie *Aktor*, „haute comédie", o której w listach owoczesnych dość często jest mowa. Utwór ten nie jest dotąd znany, a losy jego tajemnicze. Miriam zapowiadał wydanie go w tomie D *Pism zebranych*; najwidoczniej więc miał w ręku jego tekst. Owszem, jeszcze w przypisie do *Pierścienia Wielkiej Damy* wspomina o nim jako o rzeczy znanej. Nie wydał go wszelako dotąd. Czy i kiedy wyda, próżno pytać; wiadomo, jak zgóry traktuje on „jękliwe" upragnienia „całości" Norwida.

TEOFIL LENARTOWICZ DO C. NORWIDA

Florencja, 29 września [1868]

Kochany Cyprjanie!

Przez żonę moją, jadącą do Paryża, piszę te kilka słów do Ciebie, pozdrawiając i pocieszając, jeżeli to się może nazwać pociechą, że takich jak ty cierpiących jest tylu w dzisiejszym świecie, ilu jest prześladowanych za prawdę i za jej piastowanie z godnością.

Wypowiedziałeś wszystko, możesz więc być spokojny, a jeśli Ci łza przyjdzie na oczy, to możesz zapłakać przed Panem, ale więcej nad to, coś wypowiedział i głębiej społeczeństwu nie wypowiesz.

Czytałem Twoje dialogi, dalej niż platońskie, chociaż wypowiedziane właśnie w sposób, jakby to Platon zrobił. Przeczytałem Twojego *Quidama* i od serca Ci zań dziękuję. Z poezji tej kiedyś zdadzą relację, bo rozbierać jej nie można, tylko relację z niej zdawać, o co idzie sprawa, dla niedostępności dla wielu mnóstwa rzeczy, a mianowicie wysłowień się duchowo głębokich i tych tam zazębień się prawd, które się u Ciebie co chwila spotykają.

Quidam nieuchwycony ze strony plastycznej, jako duch jest zupełnym; obrazu tego człowieka nie narysuje, ale z myślami jego i z horyzontami, jakie otwiera, chce się zostać. Niech Ci zań Twój dobry anioł piękny sen nad smutnem sercem rozwiesi

Ja jestem przyciśnięty jak kamieniem i nie wiem, jak oddycham. Od żony mojej dowiesz się, co robiłem i co robię; często zdaje mi się, że już powinienem odejść, a kiedy dzień nowy świta i Bóg jeszcze żyć każe, wkładam życie w robotę i ciągnę dalej. Z żadnej strony choćby złudzenia za uśmiech, samotność, ubóstwo, uczucie nieetyczności własnego społeczeństwa, bole na widok szpitala opętanych i poranionych, — oto tyle mojego.

Mój serdeczny Cyprjanie, bądź dobry, odwiedź moją żonę i powiedz jej swoje zdanie o pierwszej pracy, którą tam wyprawiam. Twój

Teofil

Uwaga wydawcy: Aut. w Bibl. Jag. („Autografy"). Na list ten odpisał Norwid niebawem listem następującym:

7. DO TEOFILA LENARTOWICZA

[Październik 1868]

Kochany Teofilu!

Dziękuję Ci, że czytałeś moje dialogi i przypowieść *Quidam*, rzecz pisaną przed ostatniemi w Polsce wypadkami, której bohater nie nosi swego rodowego i własnego nazwiska i jest zabity przypadkiem w jatkach rzeźniczych — jak baran... Dziękuję Ci za myśl Twą o prawdzie, ale Ci powiem, że ja całe życie moje jedną ręką pisałem, drugą zaś kreśliłem rzeczy sztuki i u mnie to żadna koncesja.

Ja nie piszę, wiesz Ty dlaczego, — i Ty mówisz dlaczego. Ci, co kryją dlaczego, zdadzą sprawę przed Duchem Prawdy, ale ja jej nie zdam, bo ja wiem, że nawet i męczeństwo bez konfessorstwa jest nicością i jest zerem... jest 0... zerem!...

1868 Cyprjan Norwid

Uwaga wydawcy: Odpisywał Norwid Lenartowiczowi (aut. w Bibl. Jag. ibd.) w chwili podniecenia. Niedawno mianowicie przyjęto mu akwafortę na Wystawę paryską co więcej, w jednem z czasopism artystycznych umieszczono reprodukcje paru obrazów z pełną uznania adnotacją. Niewiele co potem atoli spotkał on w jednem z pism polskich rzuconą o sobie mimochodem wzmiankę, którą odczuł wyraźnie jako bagatelizującą. Napisał zatem pełną goryczy replikę na tamten fejleton i przesłał ją Lenartowiczowi jako załącznik do powyższego listu:

8. KORESPONDENCJA i SPROSTOWANIE

Dziennik Poznański, wtorek 13 paźdz. 1868. Czuły felietonista mówi:

„Nie można się dziwić popędowi do sztuki naszych wygnańców (!), jest to język... etc., etc. (ayons pitié de ces pauvres gens!). Kogo potrzeba tworzenia dla szerokiego koła LUDZI (!) opanuje, ten musi jak Lenartowicz zostać rzeźbiarzem... jak Cyprjan Norwid akwafortystą, malarzem... szczęśliwy!! jeszcze, — jeśli się z robotą dociśnie, aby go postrzeżono w tłumie".

Cyprjan Norwid w r. 1842 uczeń Akademji Florenckiej za życia Bartoliniego, który brał legję honorową od Napoleona Wielkiego, rywalizował z Kanową i Lorda Byrona z natury robił popiersie, — Cyprjan Norwid, uczeń Ludwika Pampaloniego, którego kolosy stoją pod nagiem niebem na placach Florencji, — Cyprjan Norwid nie został wcale akwafortystą, ale robi swoje własne kompozycje rylcem, bo lepiej od niego nikt mu ich nie potrafiłby zrobić.

„Dociskać" się nigdzie nie potrzebuje, albowiem ekspozycja na polach Elizejskich w Paryżu, mieście dwumiljonowem, daje mu miejsce szerokie, zważywszy, iż dwa miljony to jest pół Królestwa Kongresowego polskiego. A jeżeli Francuzi zwą Cyprjana Norwida akwafortystą, to przynajmniej na tejże karcie i w tymże samym wierszu, w którym mówią o nim, wspominają i o Albercie Dürerze i o Leonardzie da Vinci i o Rembrancie. Nigdy Rodacy nie byli tyleż grzeczni dla Norwida, niechże przynajmniej nie fałszują Rodaki tego, co cudzoziemcy cenią i poważają. Patrz *L'Artiste*, du Février, du Mars de 1868. Akwafortystą jest ten, co robi wszystko akwafortą, — Cyprjan Norwid robi swoje własne kompozycje akwafortą, bo kto inny popsułby mu one.

Jeśli ci ludzie mają sumienie i trochę delikatności szlachciców, jeśli nie ludzi szlachetnych, — jeśli to są troszkę estetyczne sumienia, to zechcą nauczyć się przynajmniej o swoich pisarzach i artystach z troszka uszanowania, choćby tyle, ile dla dobrych służących.

L'Artiste, revue du XIX siècle; *Histoire de l'art contemporain*, Paris 1 Février [1868] p. 304: „M-r Norwid... a étudié aux grandes écoles d'Albert Dürer et de Rembrandt; non seulement il aime le dessin, mais il se passionne pour l'expression — quelque fois jusqu'a la caricature: comme un autre grand maître Leonardo da Vinci qui ne disait pas... „le viles crayons de la caricature!.... etc., etc.

Cyprjan Norwid robi dziś swoje utwory akwafortą, jutro je może robić pędzlem, a pojutrze dłutem, jak medaljon ś. p. Krasińskiego. Jest rzeźbiarzem, malarzem, sztycharzem swoich dzieł... To się nazywało przez sześćset lat i nazywa się: być sztukmistrzem.

Kto raz widział jeden szkic Norwida, ten o 50 kroków pozna każdą jego linję. O takim sztukmistrzu patrz, co Poznańskie, a co znawcy mówią.

Przypisek wydawcy: Przytoczony na czele powyższego Sprostowania ustęp wyjęty jest (z drobnemi opuszczeniami) z fejletonu B. Bolesławity (J. I. Kraszewskiego), umieszczonego p. t. *Ze świata*, *XIV* w *Dzienniku Pozn.* z r.

1868, nr. 235. Korespondent, omawiając rzeźby Guyskiego, wtrąca mimochodem uwagę, że na tułactwie, wobec niechęci cudzoziemców do Polaków, niektórzy twórcy literaccy przerzucają się do sztuk plastycznych. „Na tem polu" — pisze — „można się dać poznać, pojąć i spróbować, czy nas nie ocenią, quoique Polonais". Poczem wymienia przykładowo nazwiska Lenartowicza-rzeźbiarza i Norwida-akwafortysty i rzeźbiarza. Wzmiankę tę drażliwy Norwid wziął jako ujmę i zareagował oburzeniem.

Wyraz oburzeniu swemu dał nietylko w liście do Lenartowicza. Napisał według wszelkiego prawdopodobieństwa również wprost do autora fejletonu Kraszewskiego. List jak zwyczajnie u Norwida, musiał być zasadniczy, długi i pełen ekskursów. Nie znamy go w całości, ale z niego to zapewne przekazał nam jeden fragment — sam Kraszewski. Zwyczajem fejletonisty, skorzystał on z niego mianowicie w korespondencji następnej do *Dziennika*. Pisał tam o Matejce, o jego „Rejtanie" i o wrażeniu, jakie ten obraz, wystawiony w Paryżu 1867 r., wywarł na zagranicznych krytykach. A właśnie i w liście Norwida był ustęp o tym obrazie Matejki. Jakże się tu powściągnąć i nie przytoczyć sądu — tak odbiegającego od przeciętnej opinji.

DZIEŁO STWORZENIA

(Z „KSIĘGI KRÓLEWSKIEJ" ABUL KASSEMA FIRDUSIEGO)

Mateuszostwu Fonbergom

O mędrcze!
Myśl jedyną wywiedź z innych tłumu
i mów, i chwal urodę i blaski rozumu,
i ucz, a który ufność w twojem słowie złoży,
zna ten prawdę i wiedzę najwspanialej mnoży!
Nad rozum daru niema pośród darów bożych!
W doczesnej drodze on jest tobie drogowskazem,
i serce uweseli, i pokrzepi razem,
i dolę, i niedolę porównu odmierzy,
i zwycięstwem przybieży i z klęską odbieży.
Gdy się psuje, zachwycić gdzie jasnego ducha?

Jakie słowa mądrości i cnoty, posłuchaj:
— Krnąbrny wobec rozumu, nic tutaj nie wskóra,
mędrzec go za szaleńca, blizki ma za gbura,
za gbura i kpa!

Bowiem na świecie, na szumnym
i w zaświecie mir człeku, jeżeli rozumny,
głupcowi zaś udręki jeno i niewole,
i bicz i poniewierka, płacz na tym padole
i osmęcenie w hańbie...

Rozum — duszy oko
i źrenica! Zastanów się, człecze, głęboko
i patrz, zali dla ślepych dany rząd i berło?
Rozum — najpierwszem dziełem stworzenia i perłą
nad perły. On cię strzeże, przezeń tyś otrzymał
dzieło stworzenia, jemu błogosław oczyma,
i podziwem, i pieśnią. Między jego sprawy
licz dobro dni łaskawych i zło niełaskawych
i szukaj o nim gędźcy w tej ciżbie śpiewaczej.

...A jeślim ja ów gędźca, czy znajdę słuchaczy?

Ale nie stanął gędźca, by nieść godne pienia,
ty więc powiadaj, mędrcze, o dziele stworzenia,
ty idący od boga, który władnie gromem,
ty, coś przejrzał widome i przejrzał kryjome,
ty mów!

O mędrcze!
Rozum miej za przewodnika,
broń się złemu, u starców zasięgaj języka,
zwędruj ziemię, gwarz z gminem, światłych mężów
[słuchaj.

A gdy znajdziesz się między te, co wielkie z ducha,
płoń szczęściem i naukę z ich warg ssij żarliwie!
...A gdy w końcu niechybny wzrok obrócisz chciwie
ku wiadomości drzewu, strzeż się omanienia,
poznasz bowiem kształt prawdy, nie sięgniesz jej rdzenia!

przełożył JANUSZ KAWECKI

NA WIDOWNI

Rzecz o miłości, jako że czas majowy. — Gdzie się podziała miłość? — Cywilizacja rażona w serce.—Czy można miłość zastąpić nienawiścią?—Żydowski okres dziejów. — Rzeczywistość dziejowa.

SŁYSZAŁEM, jak młodzi mówili, że maj jest miesiącem miłości. Coś mi się nawet przypomniało, ale mniejsza z tem... Utkwił mi jednak w głowie ten rzeczownik: miłość i zacząłem myśleć, dlaczego ten wyraz tyloznaczny wyszedł z obiegu, nawet w erotyce.

Przecież bywały czasy, że miał on różne zastosowania i uskrzydlenia. Nie było takiej sprawy duchowej, gdzieby miłość nie grała swej roli. Była mowa nie tylko o wierze w Boga, ale i o miłości Boga; była mowa o miłości bliźniego, a kto już nie miał i Boga w sercu i Ojczyzny, to był potwór. Mówiło się, jako o cnocie, o miłości Ojczyzny, miłości ziemi rodzinnej, i nie zastępowało się jej tak łatwo wyrazami: lojalność, baczność, solidarność, humanitaryzm. Boby to nie było to samo, chodziło właśnie o miłość, o wzniesienie duszy na jej skrzydłach. Były to czasy romantyzmu i entuzjazmu. Dziś są czasy materjalistyczne.

Nie tak przecie dawno rozmawiałem ze sławnym rzeźbiarzem, chłopskiego rodu, Kurzawą, o jego pomyśle artystycznym do pomnika Kościuszki. Palił się do tej roboty, właściwie do idei, którą chciał wyrazić, a tą ideą była miłość. Jak upostaciować tę wielką i realną siłę rządzącą światem! Miłość i dobroć.

Któż ma wiedzieć o tej sile twórczej, jak nie artyści? To też miłość jako idea utrzymała się tutaj najdłużej, ograniczona w poezji do erotyków lirycznych, a w powieści i teatrze — do przygód i zagadnień seksualnych. Idąc w tym kierunku, doszliśmy potrochu do tego, że miłość pokazywana nam jest w czasopismach literackich w reportażu z domów publicznych...

Nie wiem, czyby znalazł się dziś jaki Kurzawa, któryby dążył do wyrażenia miłości w posągu; nawet badacze pisma niebardzo już wiedzą, o co chodziło Kasprowiczowi w cyklu poematów „Miłość"; o św. Franciszku z Assyżu piszą żydzi, jako o *curiosum* literackiem na tle jakiejś egzotycznej starej legendy o miłości; Chrystusowi przed fasadą św. Krzyża nie przypatrują się ludzie, że to jest w swym wyrazie symbol dobroci i miłości. Współczesność nasza, gadająca wiele o cywilizacji, nie pomyśli o tem, że głównym motywem w budowie naszej cywilizacji chrześcijańskiej jest miłość.

Gdzież Chrystus, błogosławiący gmachom narodowych cywilizacyj, dźwiganym ku niebu wzlotami dusz ludzkich, ulokować miał miłość, jako siłę twórczą, jeśli nie w sercach ludzi, aby ją realizowali w dziełach rąk swoich, aby obejmowali miłością to wszystko, co w tym wielkim tworze się mieści i obrót sobie daje wieczysty, a przedewszystkiem aby szanowali pojęcie zawarte w wyrazie: „rodacy"? Narody rosną i wywyższają się nie symbolami, lecz t r e ś c i ą swojej miłości, która jest potęgą.

Co się stało w ostatnich czasach z pojęciem miłości? Dla skrócenia długiego okresu ewolucji pojęć i obyczaju weźmy literaturę, a w niej twórczość kobiet, naszych aniołów ziemskich, entuzjastek złego i dobrego, od Żmichowskiej przed stu niespełna laty—do pisarek naszych czasów, propagujących „życie ułatwione" i wiodących nas do domów rozpusty, aby nam pokazać marność tego, co nazywamy miłością.

Robimy z siebie karykaturę człowieka, i to właśnie przypadło na czasy, kiedy nam potrzeba tyle idealizmu.

Umysłowość polska uległa zakażeniu. Rozszerza się to na całą duchowość społeczeństwa. Zaczęło się od inteligencji. Dłuższy czas starą kulturę kaził ten zarazek niepoznacznie, od lat 50 kultura polska walczy o swój byt już na wielkim obszarze społeczeństwa. Długo nie zdawaliśmy sobie z tego sprawy, zbyt długo. Więcej powiem: obie strony, j a w n i e walczące, nie wiedziały i nie wiedzą, o co chodzi. I po tej stronie, która dokonywa dzieła zniszczenia. Pewno wie ktoś, gdzieś, z ukrycia atakiem kierujący.

Nastał jakiś żydowski okres dziejów.

Walka się toczy o zmianę typu cywilizacji polskiej — żeby nie była polską i chrześcijańską, żeby się rozwaliła i była niczyją własnością. W cywilizacji polskiej typu chrześcjańskiego za dużą rolę grała miłość, więc ataki w nią godzą,—w serce narodu. Jest to zagadnienie socjologiczne bardzo głębokie. Umysły badawcze odstraszane są od niego zarzutami antysemityzmu, ale czyż myśl, dochodząca do świadomości w tym względzie, może nie być antysemicką? Czy nie jest krzywdą dla zdrowego rozsądku i moralności nazywać nienawiścią antysemicką to, co jest objawem miłości dla swego gniazda?

Polak nigdy nie walczył z nienawiści, racją i siłą jego waleczności była miłość Ojczyzny. Dopiero w czasach upadku żywioły rewolucyjne, przybierające barwę narodową, nie czując w sobie siły pozytywnej, jaką daje miłość sprawy, dopingowały społeczeństwo nienawiścią. Mógłbym przytoczyć przykłady z literatury ostatniej wielkiej wojny, gdzie nasi polscy pisarze polityczni odzywają się zawsze z szacunkiem o wrogu, nieraz z podziwem. Nienawiść, jako idea i bodziec uczuciowy jest złowieszczym bakcylem duszy żydowskiej, mającym swą kulurę talmudyczną.

Nienawiść, podniesiona do zasady walki klas przez naukę żydowską Marxa, zatruwała rany, zadane społeczeństwu w tej walce, a materjalizm filozoficzny tej nauki, udzielający się całemu społeczeństwu, pozostawiał coraz mniej miejsca na uczucia idealistyczne. Czy byłoby kiedy do pomyślenia, żeby z góry społeczeństwa rozlegał się tak chełpliwie głos nienawiści w stosunku do pielęgnowanego w narodzie ducha dziejów, głos szyderstwa z patrjotyzmu jako megalomanji narodowej? Walka z rodakami, gdy dawniej elementarnym ideałem była jedność narodu, oparta na miłości: oto różnica czasów.

Gwałtów na psychice bezkarnie robić nie można, wytwarzają się więc w oczach stosunki z wyraźnemi objawami psychozy, w której dusze się spalają, nie dając nic z siebie społeczeństwu. A przecież ono żyć musi bez przerwy, stale sycone wkładem idealistycznym, w którym miłość jest pierwiastkiem zasadniczym—na codzień, na wszystkie potrzeby.

Nigdy, na całej przestrzeni dziejów Polski żydzi nie ośmielali się zajmować tak jawnie stanowiska samoistnego wobec narodu polskiego; cheł-

pliwie głoszą swoje ideje nacjonalistyczne i swoje plany polityczne, w kierunku wytwarzania własnego państwa w diasporze. A jednak nie wyrzekli się ani na chwilę prawa wpływania na życie wewnętrzne Polski, nawet wzmagają z dnia na dzień swoją rolę w gospodarce polskiej i kulturze. Ta ich współpraca nie płynie przecież z miłości dla ustroju polskiego; widzimy, jak cynicznie zachowują się wobec wszystkiego, co nas boli lub raduje. A jednak cieszą się w coraz większej pełni posłuchem i poparciem Polski.

I to jest najbardziej jaskrawy dowód przewrotu, który się dokonał w łonie naszej cywilizacji w ciągu ostatnich lat kilkudziesięciu. W tej chwili np. ludzie, umiejący czytać dzienniki żargonowe, ze zgrozą opowiadają, jaka tam panuje radość z powodu ciosów, spadających na obóz narodowy. Nie trzeba zresztą czytać pism żargonowych, żeby o tem wiedzieć: radość tę widzimy w wielu dziennikach polskich, przesiąkniętych wskroś duchem żydowskim.

Są liczne jednostki wśród Polaków, które się cieszą z tego posiewu nienawiści. Aniby się odpoznał w takim typie Polak dawny, który wiedział, że *concordia res parvae crescunt, discordia maximae dillabuntur.* Nie wiedzą tego dusze zżydziałe. Nie zdają sobie sprawy, że miłość, będąca prawem życia organicznego, nieustannie pracuje w społeczeństwie rodowitem i osiadłem, że wszystko, na czem oni, siejący nienawiść, pasorzytują, tej miłości byt i rozwój zawdzięcza.

Miłość pracuje i odrabia sprawki tych, którzy zajęci nienawiścią, popełniają błędy i burzą. Jakżeby życie wyglądało, gdyby ta praca, idąca pocichu z narodu, nawet gdy jest odpędzana, szydzona i zwalczana, nie pokrywała runią pól zaniedbanych, nie rozsadzała sprzecznych z naturą konstrukcyj? Jeśli naród w najbardziej nieprzyjaznym klimacie wypuszcza liście i rozrasta się, do ludzi jest podobny, ludzi obcych szacunek zdobywa, światu nadzieję rokuje, że na niego liczyć chce,— to wszystko zawdzięcza tej nieustannej, posłusznej głosowi miłości, pracy.

Duch żydowski, pokutujący już w tak wielkim stopniu w łonie inteligencji, zasilany ciągle współpracą z żydami, doznaje trwogi, gdy zewsząd rzuca na niego uroki jakaś siła od niego niezależna, bo bezinteresowna, niczego się nie bojąca, niezmożona, wywracająca prędzej czy później wszystkie jego kalkule.

Mam zanotowane powiedzenie pisarza francuskiego Emila Fagueta (1899): „wszystko nas wiedzie ku tej prawdzie, że ludzkość posiada tylko jeden żywioł czynny: m i ł o ś ć, w szczególności dar patrjotyzmu narodowego. Ostatniem słowem tej prawdy, w którem się mieści rozwiązanie całej tajemnicy — to m i ł o ś ć".

Ten prosty fakt psychiczny, płynący z instynktu, decyduje o życiu samych narodów i o trwałości państw. Jest to prawo najogólniejsze ze wszystkich, wszystko ogarniające, modelujące człowieka na wszystkie potrzeby twórczości. Wszystkie inne typy ludzkie, wytwarzane z doktryn, lub przez zwyrodnienie instynktów w nieporządnem życiu, są zboczeniami i — jak pokazuje praktyka dziejów — na stałe się nie utrzymują.

Miłość jest twórcza, nienawiści dziełem może być tylko zniszczenie.

ZYGMUNT WASILEWSKI

GŁOSY

TROSKA O PRZYSZŁOŚĆ wyraża się u nas przedewszystkiem w przekonaniu, że teraźniejszość stale powinna być zła. Nie neguje się, że prace polityczno-wychowawcze, spychające naród na niższy poziom, mają charakter zabiegów tymczasowych; ale równocześnie uważa się, że prowizorjum to trzeba jaknajbardziej przedłużyć, aby lepszą przyszłość przygotować jaknajgruntowniej.

W optymizmie tym pomija się, jako okoliczności bez znaczenia: 1) że w ten sposób w każdym razie lepszą przyszłość odsuwa się w przyszłość coraz dalszą, 2) że wogóle przyszłość tak przygotowana nie będzie lepsza. Wytłumaczmy się jaśniej, o co chodzi. W kołach, urządzających państwo, nikt nie twierdzi, że urządzenia dzisiejsze reprezentują jakiś szczególnie wysoki typ cywilizacji. Owszem, kompleks niższości panuje bezwzględnie—i nietylko zresztą w kołach polityków sanacyjnych. „Jesteśmy gorsi, niżsi, bardziej zacofani"... Wyprowadza się stąd wniosek, że urządzenia nasze muszą być dużo prymitywniejsze... Wniosek z przesłanki prawidłowy; zagadkowe tylko, czemu z konkluzją powyższą łączy się przymieszkę bezsensownego optymizmu. Można zrozumieć przeświadczenie symplistów politycznych, że potrzebnych jest Polsce wiele dobrodziejstw, których dotąd ojczyzna nasza nie znała, a któremi np. cieszyła się stale w ciągu swego długiego istnienia Rosja; że potrzebna jest „silna ręka", konieczny *régime* policyjny z rozszerzonym aparatem służby informacyjnej, niezbędny stały nacisk administracji na wyraz woli społeczeństwa, pożyteczna rola kłamstwa propagandowego i t. d. Wielu patrjotów przeświadczonych jest głęboko o potrzebie tego rodzaju zabiegów politycznych. Na nic innego nas nie stać, tak być musi, jeżeli nie mamy stoczyć się w przepaść anarchji i zginąć, jak zginęła dawna Polska... Podzielając przesłanki ich rozumowania, opartego na fałszywem pojmowaniu sensu naszej historji, możnaby (bez entuzjazmu wprawdzie), zgodzić się z ich konkluzjami; w żaden sposób jednakże nie możnaby przystać na dodatkowy pogląd niedorzeczny, że urządzając sobie życie w tym stylu, przygotowujemy się do czegoś lepszego w przyszłości. Optymizm ten jest niesłychanie szkodliwy. Jeśli chcemy czegoś lepszego, musimy wysiłek swój skierować ku osiągnięciu tego celu, nie ku utrwalaniu *status quo.*

Fatalnie ciąży na naszem życiu publicznem zabobon, że z demoralizacji wyjść może ocalona moralność, że zniszczenie samorządności rozwinie zdolność organizacyjną, że uzależnieni rozwiną w sobie cnoty ludzi wolnych, że *régime* wschodni uczyni z nas kiedyś zachodnio-europejskie społeczeństwo... Trzeba jasno sobie z tego zdawać sprawę, że aprobując urządzenia dzisiejsze, chcemy, aby Polska pozostała na przyszłość taka, jaka dziś jest. Jeśli ten stan rzeczy zatem uważamy za tymczasowy i nienormalny, nienormalność tę moglibyśmy przez pomyłkę utrwalić na bardzo długo. Przyzwyczajanie społeczeństwa do urządzeń gorszego cywilizacyjnie typu nie jest krokiem naprzód w ewolucji, lecz grozi stabilizacją na niższym poziomie. Ten jest jedyny sens rzekomej „pracy dla przyszłości".

WYBORY niedzielne do parlamentu praskiego są doniosłem wydarzeniem nie tylko ze względu na układ sił politycznych naszego sąsiada, które nie uległy zresztą większym zmianom, ale przedewszystkiem z powodu przeglądu naszego narodowego stanu posiadania w granicach państwa czechosłowackiego. Ogromną radością przejął nas fakt, że listy polskie, mimo niesprzyjających dla siebie warunków, osiągnęły duże zwycięstwo, powiększając liczbę głosów, które im zapewnią nawet miejsce w senacie. Zwycięstwo to świadczy w sposób dobitny o odporności naszego żywiołu na wszelkiego rodzaju szykany, jakich mu w ostatnich czasach władze państwowe czechosłowackie nie szczędzą.

I tu trzeba sobie zadać pytanie, czy owe złe warunki, owe szykany są zjawiskiem normalnem, a jeśli nie, to jak je należy tłumaczyć.

Bezwątpienia, tendencją narodowości panującej w państwie, a taką jest tam mimo federacyjnych form współżycia narodowość czeska, jest największe rozszerzenie swoich wpływów cywilizacyjnych. Zjawisko zupełnie zrozumiałe — niezrozumiałemi są natomiast metody, jakiemi to dzisiaj czyni, zwłaszcza, iż na liberalnych oraz demokratycznych podstawach oparty ustrój Czechosłowacji metod stosowanych do ludności polskiej nie zalicza do swego systemu rządzenia. I wydaje się, nie bez słuszności zresztą, że ci Polacy, którzy nie dostali się w granice Rzeczypospolitej Polskiej wskutek całego szeregu wydarzeń politycznych, ponoszą tylko bolesne konsekwencje obecnych stosunków polsko-czeskich. One to, przedewszystkiem naraziły ich i narażają na trudne warunki bytowania, na, powiedzmy otwarcie — walkę. Wpadamy tu w błędne koło, gdyż złe stosunki sąsiedzkie obu państw wywołują szykany w stosunku do ludności polskiej, zaś szykany te z kolei wpływają na stosunki między obydwoma państwami i t. d., zda się — bez końca.

A tymczasem położenie geograficzne obu krajów, wspólnota pochodzenia, wreszcie układ sił politycznych w Europie z nieubłaganą logiką wskazują, iż stosunki te winny się kształtować inaczej. Wszystko domaga się tu radykalnej poprostu zmiany. A wówczas rola ludności polskiej, będącej dzisiaj powodem zrozumiałego zupełnie naszego podrażnienia, zmieni się również w sposób radykalny; stanie się pomostem cywilizacyjnego zbliżenia obu narodów i rozwój jej przestanie być postrachem dla władz państwa czechosłowackiego. Dzisiejszy stan rzeczy idzie doskonale na rękę komuś trzeciemu. Ten trzeci w niedzielnych wyborach zaznaczył swą siłę w sposób zupełnie niedwuznaczny — zgórą czterdzieści mandatów zdobyli bowiem Niemcy z Henleinem na czele.

Henlein jest wyznawcą ideologji hitlerowskiej. Ona, jak wykazują obliczenia komisyj wyborczych, potrafiła scalić niemal wszystkie głosy niemieckie, rozproszkowane do tej pory na szereg list. Skutek tego jest taki, że w parlamencie czechosłowackim najsilniejszą frakcją będzie frakcja... hitlerowska. Jest to duży sukces idei, którą rzuciła Trzecia Rzesza.

Ktoś kiedyś słusznie zauważył, że siła asymilacyjna hitleryzmu jest większa aniżeli siła niemczyzny. Stresemannowskie Niemcy pozostawiały swoich rodaków życiu politycznemu Czechosłowacji, hitleryzm wciągnął ich całkowicie w orbitę swoich wpływów, co więcej, poczynają one nawet ogarniać i ludzi nie przyznających się do pochodzenia germańskiego. Cokolwiek zaś, zresztą słusznie zupełnie, możnaby powiedzieć krytycznego o ideologji dzisiejszych Niemiec hitlerowskich niemniej zaprzeczyć się nie da, że istnieją w niej również realne, istotne dla cywilizacji europejskiej walory, przyciągające zapowiedzią wytworzenia warunków pozytywnego budowania innej, lepszej przyszłości.

NAUKA i LITERATURA

FUNDACJA IM. FRANCISZKA NOWODWORSKIEGO

PRZECHOWYWANA ze czcią pamięć o zasługach ś. p Franciszka Nowodworskiego, znakomitego prawnika i obywatela, znalazła wyraz w ufundowanej na jego cześć instytucji społeczno-naukowej. Ś. p. Nowodworski zmarł 3 sierpnia 1924 r., a już w styczniu 1925 r. ukazała się odezwa, wzywająca ogół do poparcia inicjatywy, mającej na celu stworzenie „Fundacji" jego imienia.

Celem tej fundacji według statutu „jest popieranie twórczości naukowej polskiej w dziedzinie nauk prawnych i społecznych, oraz troska o czystość i rozwój języka ojczystego w tej dziedzinie. Dla osiągnięcia tych celów kapitał obrotowy Fundacji przeznacza się: a) na opracowanie i wydanie polskiego słownika prawniczego i uzupełnienia następnie tego wydawnictwa w miarę potrzeby, b) na przedsiębranie lub popieranie w drodze odpowiednich zapomóg wydawnictw innych dzieł i prac, zarówno z dziedziny nauk prawnych i społecznych, jak i z dziedziny językoznawstwa polskiego w powyższym zakresie, c) na nagrody za prace z powyższych dziedzin, d) na zapomogi dla osób wydatnie pracujących w powyższym zakresie".

Inicjatywa ta spotkała się z ogólnem świata prawniczego uznaniem. Po zatwierdzeniu statutu przez władze państwowe w r. 1929, przystąpiono do pracy organizacyjnej. Na czele fundacji stanął komitet, którego prezydjum, pozostające bez zmiany do tej pory, składają: prezes — Władysław Seyda, wiceprezes — ks. Biskup Antoni Szlagowski, skarbnik — Stanisław Kijeński, sekretarz — Marjan Sokalski. Dalszy skład Komitetu stanowią członkowie: Ignacy Baliński, Kazimierz Budny, Ignacy Chrzanowski, Bohdan Korsak, Aleksander Mogilnicki, Leon Nowodworski, Bolesław Pohorecki, Zygmunt Wasilewski. Do Komisji Rewizyjnej należą: Stanisław Janczewski, Wacław Sierpiński, Józef Stemler.

Fundacja rozporządza obecnie funduszem około 53 tysięcy złotych. Składki jednak na tak pożyteczną pracę wciąż napływają.

Ze sprawozdania, które mamy przed sobą, widzimy, że praca nad słownikiem rozwija się w całej pełni. Skład komisji redakcyjnej słownika jest następujący: przewodniczący — adw. Stanisław Kijeński, członkowie: prof. dr. ks. Ignacy Grabowski, sędzia Sądu Najwyższego Bohdan Korsak, adw. Aleksander Mogilnicki, adw. Leon Nowodworski, sędzia Sądu Najwyższego Marjan Sokalski, sędzia Sądu Najwyższego Stanisław Wyrobek, przytem Komisji służy prawo kooptacji — w miarę potrzeby.

Przedwstępne prace przygotowawcze do powyższego wydawnictwa zostały ukończone, mianowicie sporządzono spis około 15.000 wyrazów, podlegających uwzględnieniu w słowniku, sporządzono spisy alfabetyczne tych wyrazów, przystąpiono do zaprowadzenia odpowiedniej kartoteki, przygotowano szereg opracowań przykładowych poszczególnych wyrazów. Dalsze prace — w kierunku zapewnienia współpracownictwa odpowiednich sił fachowych, podziału mater-

jału do opracowania i t. p. — są w toku. Oczywiście, należyte opracowanie słownika potrwać musi czas dłuższy.

Niezależnie od prac nad słownikiem, komitet Fundacji ma możność rozszerzyć swą działalność przez popieranie prac w zakresie nauk prawnych i społecznych.

Komitet spełnił przedewszystkiem ważny obowiązek, mianowicie z datą 1934 r. wydał książkę, która szerokiemu ogółowi utrwali w pamięci postać ś. p. Franciszka Nowodworskiego. Tytuł książki: „Fundacja im. F. N." (str. 80 z portretem). Oprócz dokumentów fundacyjnych znalazły się tutaj życiorys F. N., przemówienie żałobne ks. dr. Z. Choromańskiego, mowa ks. biskupa A. Szlagowskiego (wzór kaznodziejstwa), wszystkie mowy reprezentacyjne na pogrzebie, charakterystyki osobistości i prac F. N., napisane przez K. Budnego i M. Kurmana. Wszystkie przemówienia, wygłoszone na akademji ku czci F. Nowodworskiego 11.X.1924 r.

Książka, starannie wydana na pięknym papierze, godnie spełni swe zadanie. Jest do nabycia w księgarniach (cena 3 zł.).

Poczynaniom Fundacji życzyć należy ze wszech miar powodzenia. P.

POEZJA STOSOWANA

Z POWODU chorób przewodu pokarmowego, bólu zębów, głowy czy nóg nie napisano dotychczas jakiejś wielkiej tragedji lub epopei. Zjawiska te bowiem obejmują tylko część organizmu psychofizycznego człowieka i traktowane osobno stają się przedmiotem rozpraw lekarskich, nie zaś sztuki. Jeżeli ich nie powiązać z całością duszy ludzkiej w sposób, dotykający zagadek czy paradoksów bytu, nie nadadzą się jako temat jakiegoś lepszego utworu sztuki. W tem znaczeniu są to tematy niewdzięczne w opracowaniu lub zgoła nieartystyczne. Podobnież i strona gospodarcza życia może być przedmiotem poezji, ale tu także autor, chcąc napisać rzecz niebylejakiej wartości, musi w niej dać wyraz odczucia i zrozumienia, że sprawy gospodarcze oddziaływają na całość spraw kulturalnych człowieka, więc mają głęboki sens moralny. Bez tego sensu poeta napisze albo niezdarne, dziecinne wypracowanie na temat ekonomiczny albo równie niezdarny elaborat agitacyjny, jak to w pewnej części swych wierszy uczynił p. Ciepliński[1]).

Oto przykład: pierwszy programowy wiersz ze „Słowa po drutach" przedstawia pogląd autora na poezję. Co tu mamy? Nic, poza spisem tematów, ujętym w mowę wiązaną, a stanowiącym niezawodny repertuar przemówień wiecowych kiepskiego demagoga-socjalisty. „Jesteś" — zwraca się poeta do swej muzy —

„krzykiem wydartym z pod serca,
zaciśnięciem pięści w twarde węzły,
bólem głodu, co do trzew się wwierca,
spazmem buntu w głąb krtani zagrzęzłym".

Nie chcę wyjść z rozbioru literackiego na poligon politycznej dyskusji. Ale z pogranicza tych dwóch metod pojmowania twórczości nasuwa mi się wniosek, że poezją, i to zwłaszcza wielką, można wspaniale rewolucjonizować masy. Zupełnie dobrze nadaje się do tego taki Mickiewicz, czy Wyspiański. Ale trzeba pamiętać, co pierwszy pisze o swej sztuce na początku wielkiej improwizacji, i jak drugi traktuje problem twórczości artystycznej w „Wyzwoleniu".

Tak się już paradoksalnie składa, że gdy kto jest artystą, to jego rzeczą można też świetnie agitować, bo tu treść programową poprze suggestja sztuki. Ale jeżeli jego piórem kieruje propaganda polityczna, to utwór będzie zbyt przedwyborczy, jak na poezję, a zbyt wierszowany — jak na odezwę.

Obliczyłem, że w trzech pierwszych jednostronicowych wierszach p. Cieplińskiego motyw i wyraz „serce" powtarza się 7 razy. I zawsze albo coś się z pod tego serca wydziera, albo coś w nie bije, albo pryska ono w czarnym murze węgla kamiennego, czy też wreszcie rwie je dynamit w kopalni. Więc nawet wgląd w sens i kształt serca p. C. nie jest pocieszający. Poeta nie powtarza motywu, ubierając go za każdym razem w świeżą, interesującą szatę literacką; on poprostu powtarza się. W tych samych trzech kawałkach motyw buntu, wymieniany na protesty, pojawia się 6 razy i sześć razy także pokazuje się tu krew jako rzeczownik lub przymiotnik.

Przekleństwem p. C. są nawroty i powtórzenia. Owe 42 wiersze dadzą się podzielić zaledwie na kilka grup. Każda grupa zawrze warjanty, które w zestawieniu znowu pokażą owo powtarzanie się według tej czy innej recepty. I tak: mamy 7 wierszy na temat: pracował i umarł, albo pracuje i według przewidywań poety umrze śmiercią powolną lub tragiczną.

Jest tu taki drwal, który rąbał, rąbał, aż umarł w lesie, jest żałosny życiorys jakiejś pięknej dziewczyny, która grała na skrzypcach i śpiewała po podwórzach, aż wreszcie umarła, są komornicy, którzy zmarzli nocą i t. d. Inna znów grupa utworów opiewa ideję: pracuje ciężko i jest beznadziejnie chory lub żyje w nędzy czy też ma nieszczęśliwą rodzinę. Jeszcze inna przedstawia kontrast między komfortem i wygodnictwem burżuazji a brakami materjalnemi pracowników fizycznych.

Najlepsze są wiersze, w których brak tendencji klasowej, jak „Serca podków", obraz tętniący kuźnią, soczyście malowany o ładnej metaforze i nastrojowej końcowej wizji. Dobry jest „Nr. 169" (kwadrat trzynastki!). W prymitywnym dwuwierszu byłby prosty i przekonywający, gdyby go wyprać chemicznie z tej antyspołecznej nienawiści, właściwej poezji „proletarjackiej", która źle przedstawia swój przedmiot, co obniża artyzm, jako dysonans fałszu. Z podobnemi zastrzeżeniami, zalety malarskie i dźwiękowe ma wiersz „Budujemy domy" i „Pieśń głodu".

TADEUSZ DWORAK

[1]) Czesław Ciepliński: „Słowa po drutach". Warszawa, 1934.

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

Niepospolitem zjawiskiem literackim jest zbiorek poezji p. t. „Samotna udręka" wydany po śmierci autora przez rodzinę. Autor Stefan Glass (1895—1932) ciężki miał los meteoru. Jakiś brak równowagi między myślą a uczuciem przy nadzwyczajnie bujnym rozwoju obu tych władz, graniczącym z genjalnością, wytrącał go z orbity życiowej. Przerażała go świadomość tego stanu i duszę mroczyła smutkiem:

„I zawsze samotny i smutny bez końca,
Nie żyję dla ludzi, nie żyję dla słońca,
Dla siebie samego żyjący.
Mogę z woni tęczę wić,
Mogę z barw girlandę tkać,
Lecz nie umiem z życiem żyć,
Nie znam, co to moja brać". (20)

Z powołania matematyk, rokujący świetną w nauce drogę, doktór filozofji, umysł znakomicie w filozofji wyrobiony, jak widzimy, człowiek niepospolitej wrażliwości serca, ginął tragicznie we własnej głębi. W strofach, które po śmierci wydała rodzina, zwierzał się ze swych cierpień, o których nikt, póki żył, nie wiedział:

„Obłędny chaos snów
Przelata przez mą głowę
I gwiazdy coraz nowe
Chwytam w arkana słów".

To poezja, a wiedza?

„Jestem cichą wodą
Blaskami się sycę, —
Świecą w moich falach
Słońca i księżyce.

Jestem cichem niebem,
Które nie ma końca.
Na tle mojem kwitną
Księżyce i słońca.

Wszystko w głąb mnie pada,
Jak w lustrzaną ciemnię,
I lśnię od gwiazd złotych,
Których nie ma we mnie". (73)

Bo, jak powiada gdzieindziej (67) — „prawda nie jest z ludzi, ona trwa w dali bezmiernej", człowiek jeno chwyta jej promienie.

Bardzo piękne pod względem artystycznym wiersze Glassa otwierają przed nami pełną tajemnic otchłań duszy ludzkiej. Analiza psychologiczna byłaby tutaj krytyce bardzo przydatna.

*

Dla kontrastu z książką Glassa, odwróćmy się od przepaści tam, gdzie droga na kwietne łąki. Oto zbiorek pani Kazimiery Alberti „Godzina kalinowa". Kwitnie tu życie radosne, niesyte szczęścia.

Oto śpiewa poetka:

„Wszystkiego mi za mało! Ludzie! to ze szczęścia — wierzcie
Chciałabym z życia się napić do samego dna wreszcie".

I tak kończy swoją pieśń:

„A przecież należałoby — ludzie — podziękować komuś
Za to, że jestem dźwięczącą struną wśród ogromu.
Krzyczeć i śmiać się i płakać w podzięce
Za to, że oczy mam zdrowe i usta i ręce". (28)

Tak przemawia do nas wiosna, tak śpiewa krew w żyłach tętniąca. Młoda, piękna kobieta przegląda się w świecie, jak w lustrze, odnajdując siebie, rada jest sobie:

„To także szczęście, że krew jest czerwona
że usta o mało nie trysną w pocałunku jak ciemne winogrona,
Że serce ma kształt właśnie taki, a nie inny,
Że mówić nie trzeba, bo oczy wszystko powiedzieć powinny,
Że krew w nas wali wściekle, jak woda w górskim żlebie.
To także szczęście, że mnie na imię: „kobieta", a mężczyzna—
tobie!" (61)

(Książka dedykowana jest mężowi).

Jeszcze ludzkość nie zginęła — z tą otuchą zamykamy zbiorek, wdzięczni poetce za wiosnę.

*

Niezmiernie ciekawem, z punktu widzenia poglądowości pokazu, byłoby ujrzeć laboratoryjny preparat własnej duszy, aby następnie porównać z wyobrażeniem swej psychy, jakie wytworzyliśmy po długich latach czujnej rzekomo i pilnej introspekcji. Należałoby jeszcze prawidłowość rezultatu skontrolować przy pomocy „życzliwej i bezstronnej" opinji bliźnich... Niestety, w życiu potocznem, zwłaszcza w rozgardjaszu wielkomiejskim, niema w praktyce mowy o głębszem wniknięciu w siebie, to też rekolekcyjne czy filozoficzne [1]) *gnoti se auton* osiągnąć można chyba w wyjątkowych okolicznościach.

Taką „szaloną okazją" stał się dla Jerzego Bandrowskiego („Pałac połamanych lalek", W-wa 1935, Dom Książki Polskiej) pobyt w szpitalu dla nerwowo chorych, gdzie serja rozmów z kobietą-psychjatrą dała mu sposobność ujrzenia własnej, często jaskrawo przykrej i gorzkiej, prawdy duchowej. Autor, wyznawca idealistycznego poglądu na świat, być może pod wpływem osłabienia chorobowego, niedość zdecydowanie broni swego ja wobec „pani-doktór", lansującej błyskotliwe zdanko, że dusza jest jedynie „sumą bezpośrednich przeżyć". Może jest w takim poglądzie skuteczna odtrutka na romantyczną miłość, graniczącą prawie z jakimś, współczesnym werteryzmem. Jeśli tak, to mamy w ręku klucz do zrozumienia, nierzadkiego we współczesnej literaturze, zjawiska ucieczki poprzez cynizm otwarcie materjalistycznej doktryny przed wstrętnem widmem, pełnej pietyzmu dla rzeczy świętych, młodości...

Przeciwko wyłączności „bezpośredniego przeżycia" przemawia większa nieraz intensywność wspomnienia, szczególnie dokuczliwa we wszelakich obrachunkach z własną duszą wyniosłą — jakby to pięknie powiedział Sienkiewicz. Szczery aż do ekshibicjonizmu poeta „...z pod takiego śmietnika wyciągnie jakiś strzęp, podobny napozór do szmaty przegniłej, coś wstrętnego i obrzydliwego... powie:

O! To twoje uczucie, twoja myśl, strzęp twego serca!

— ... — Tak, teraz to musimy zbadać!... w laboratorjum, gdzie każda myśl wyjdzie na światło dzienne, nietylko ta, o której wiesz i której ci wstyd, lecz i wiele innych, których istnienia w sobie nawet nie podejrzewałeś". (str. 236/7.).

Taka samowiedza wewnętrzna, wsparta o bogatą uczuciowo i wyczuloną estetycznie tendencję wartościowania, nie mieści się w psychjatrycznej koncepcji „sumy bezpośrednich przeżyć".

Dobrowolna, podyktowana lękliwym, kuracyjnym utylitaryzmem, rezygnacja ze wspaniałych terenów ekspansji gestu wewnętrznego wywołuje odruchowy niesmak.

Przeciwnie, próba rozdrapania choćby najbardziej cuchnących ran — jak u Bandrowskiego — jako protest przeciw „życiu ułatwionemu", wzbudza w duszach świadków katastrofy „strach i politowanie", ale odświeża powiewem górskiego, ozonowego powietrza atmosferę. (St. J.)

[1]) tutaj warto przypomnieć szczęśliwe wyrażenie Klemensa rzymskiego, że Hellenowie w niedostatku religji objawionej otrzymali w darze od Boga genjusz filozoficzny.

Z LITERATURY ZAGRANICZNEJ

Ukazał się tom III „Wspomnień" Charles Benoist (Paris Libraine Plon 1934 str. 495 XXXVI). Obejmuje on lata 1902 — 1933, w ciągu których autor odgrywał wybitną rolę w polityce francuskiej. W ciągu 18 lat był on deputowanym Paryża i gorąco zajmował się reformą prawa wyborczego. Podczas wojny był nadzwyczajnym delegatem rządu francuskiego w Rzymie. W parlamencie był jednym ze sprawozdawców, referujących ustawę o ratyfikacji Traktatu Wersalskiego. Po wojnie reprezentował Benoist, jako poseł nadzwyczajny, Rzeczpospolitą Francuską w Hadze. W ostatnich latach Benoist, będący dotychczas rapublikaninem, stał zwolennikiem doktryny *Action Française* i był wychowawcą Hrabiego Paryża. Benoist reprezentuje typ kulturalnego człowieka, jakiego mogła wydać tylko stara kultura Europy. Nadaje to specjalne piętno całej książce i specjalną wartość zawartym w niej poglądom. (J. P.)

*

Książka Italo Balbo „Marsz na Rzym" jest wspomnieniem jednego z głównych współdziałaczy w tym przełomowym dla współczesnych Włoch momencie. Bezpośredniość opowiadanych wrażeń jest główną zaletą tej książki. W książce tej niema głębokich rozważań ideowych i politycznych. Właśnie dlatego jednak, po przeczytaniu jej, widzimy bardziej plastycznie ruch faszystowski, niż po przeczytaniu szeregu książek, streszczających nam ideologję i opowiadających o podstawach programowych polityki faszyzmu. Ideologja, program nie są bowiem najistotniejszą treścią faszyzmu, a raczej dodatkiem do wielkiej siły dynamicznej, jaką reprezentował faszyzm. Ten właśnie charakter faszyzmu był przyczyną jego szybkiego sukcesu, dziś jednak jest on źródłem poważnych trudności, w przyszłości zaś może doprowadzić do głębokiego kryzysu. (J. P.)

ZE ŚWIATA SZTUKI

WYSTAWY I MUZEA

W ZACHĘCIE gości teraz wystawa sztuki perskiej. Wystawa nie posiada charakteru metodycznie opracowanej całości, któraby obrazowała w sposób wyczerpujący, chociażby jakiś jeden odcinek, dawnej plastyki irańskiej. Budzić może zainteresowanie raczej z powodu pokazania kilku cennych i pięknych zabytków kobiernictwa, wypożyczonych ze zbiorów publicznych i kościelnych. Pozatem, obok wielu eksponatów, które właściwiej byłoby pominąć, stokroć lepszem, choć skromnem dopełnieniem wystawy, są reprodukcje arcydzieł sztuki perskiej z okresu jej największego rozkwitu.

Katalog opracowano starannie.

Nie mam jednak zamiaru zajmować się w tym wypadku twórczością Persów, gdyż — przyznam się — pobudką do mego, dzisiejszego feljetonu,

stało się pewne dobre zdarzenie i skierowało uwagę na inne tory. Oto w jednem z pism porannych przeczytałem list jego czytelnika, który zapytywał, dlaczego nasze Muzeum Narodowe powstrzymało się od wypożyczenia eksponatów na wystawę perską w Zachęcie? Czytelnik ów widzi w takiem stanowisku Muzeum złą wolę, tembardziej nieusprawiedliwioną, gdyż sądzi, iż inne muzea postąpiły inaczej. Jest w błędzie, ale nie o to chodzi— nie wnikając w pobudki, któremi tym razem kierowało się warszawskie muzeum, chciałbym się zastanowić nad zasadniczemi racjami podobnej odmowy, zresztą dość często praktykowanej przez rozmaite nasze muzea (np. na wystawę gotycką w IPS-ie nie udało się uzyskać eksponatów z Muzeum Narodowego w Krakowie).

Obserwatorzy naszego życia artystycznego, w ostatnim roku, mogli zauważyć, iż instytucje, przedewszystkiem powołane do notowania twórczości plastycznej współczesnej, nader chętnie organizowały wystawy sztuki dawnej. Wywołało to nawet sprzeciwy pewnych grup artystycznych, które uważały, iż zabierają im lokal, prawem kaduka niejako uniemożliwiając w ten sposób pokazanie tego, co one w zakresie sztuki zrobiły.

Stanowisko artystów, teoretycznie nie pozbawione słuszności, w praktyce życie osłabia dwoma bardzo poważnemi argumentami. *Primo*: kierownicy instytucyj wystawowych, poświęconych sztuce współczesnej, doszli do wniosku, iż artyści dziś nie tworzą tylu dzieł naprawdę interesujących i dobrych, by mogły one z powodzeniem zapełnić wszystkie sale, podczas wszystkich miesięcy wystawowych. Wobec tego, zamiast złej sztuki dzisiejszej, wolą pokazywać dobrą dawną. *Secundo*: zagranicą, wystawy sztuki dawnej są zazwyczaj urządzane przez muzea, — w ich gmachach, oraz z ich własnych zasobów. U nas warunki lokalowe przeważnie na to nie pozwalają; muzea nasze często muszą przechowywać swe zbiory w jakichś klitkach niemal, więc cóż tu myśleć jeszcze o specjalnych salach wystawowych! Natomiast instytucje, w rodzaju IPS-u, lub Zachęty, takie sale posiadają — te wszystkie okoliczności skłaniają do postępowania, o którem mowa. Przytem trzeba się liczyć (o czem już kiedyś pisałem) z psychologją ludzką. Publiczność u nas liczniej i chętniej wzieda wystawy, niż muzea, bo uważa niesłusznie, iż muzea są raczej dla specjalistów - badaczy, lub miłośników zabytków (zbieraczy).

A teraz zastanówmy się nad dość powszechną, w naszych sferach muzealnych, niechęcią do wypożyczania ze zbiorów dzieł organizatorom rozmaitych wystaw retrospektywnych. Oczywiście, na zgromadzeniu jaknajwiększej ilości cennych eksponatów podobna wystawa zawsze zyskuje, wzmaga się jej znaczenie kulturalno-wychowawcze, dopełnia jej zawartość, jako materjał do badań naukowych. Ale z drugiej strony nie można się tak bardzo dziwić kierownikom muzeów, gdy dzieł, często nadzwyczaj cennych unikatów, znajdujących się w stanie, wymagającym ciągłej i czujnej opieki, nie chcą poddawać ryzyku transportu, jazdy koleją, przenoszenia i t. d. Gdybyż to jeszcze jedna zaufana osoba, przez cały czas wypożyczenia, miała pieczę nad szacownym zabytkiem! Ale dzieło to, od momentu zabrania z muzeum, aż do powrotu, przechodzić będzie przez rozmaite ręce, często niezupełnie do opieki nad niem powołane, lub jego wartości świadome. Wyobrażając siebie w roli właściciela, lub urzędowego opiekuna takiego zabytku, dopiero wtenczas byłbym o jego całość spokojny, gdyby mi pozwolono osobiście, albo pod osobistym nadzorem dostarczyć je na wystawę i zabrać stamtąd z powrotem. A tego rodzaju opieka niezawsze jest możliwa.

Nie chcę być posądzany o przesadę i dlatego pokażę na przykładzie, jak to wygląda w praktyce. Rozmyślając właśnie o tych sprawach, przechodziłem dziś w południe ul. Królewską. Przed IPS-em stał wóz znanej firmy przewozowej i ładowano weń rzeźby z wystawy gotyckiej. Umyślnie zatrzymałem się, żeby sprawdzić, jak to robią. Całą czynność załatwiali sami, prości ludzie, robotnicy. Widziałem jednego z woźnych z IPS-u, ale nikogo z dyrekcji, kancelarji, lub artystów z zarządu. Zapewne polegano na dobrej woli i uczciwości robotników, uświadomionych prawdopodobnie co do wartości rzeźb. Mówię — prawdopodobnie...

Robotnicy brali kłody rzeźb na ramiona i przenosili z sali do wozu. W wozie kładli je na podłodze, podłożywszy uprzednio koc. Następnie okrywali te rzeźby szmatami, a na wierzch kładli drugą warstwę. Prawdopodobnie dolna warstwa rzeźb nie miała żadnych części nadto spróchniałych, by górna mogła je rozgnieść. Prawdopodobnie...

Zdziwiło mnie, że nikt, mówiąc poprostu — inteligentniejszy, tych czynności nie dozoruje. Wkońcu zauważyłem młodego jegomościa który przyglądał się pracy robotników.

„Aha, to pan zapewne pilnuje transportu?"

„Nno tak... ja pilnuję, bo mógłby jeszcze ktoś coś ukraść..."

Zapewne rzeźbom (na szczęście!) nic się nie stało. Ale czy nie wydaje się wam, że muzea, które nie chcą pożyczać eksponatów na wystawy, zasługują na rozgrzeszenie?

WIKTOR PODOSKI

NA MARGINESIE

Z AFORYZMÓW F. CHWALIBOGA

Im uboższe i bardziej barbarzyńskie społeczeństwo, tem większe marnotrawstwo zdolności i wysiłków lepszych jednostek.

*

Prawodawstwo nie zdoła nigdy zaprowadzić raju na ziemi, ale może na niej stworzyć piekło lub je usunąć.

*

Propaganda antynarodowa może pochodzić jedynie od obcych szowinistów, gdyż prawdziwego kosmopolity nie drażni cudzy patrjotyzm.

*

Niema despotyzmu tłumu, ani despotyzmu jednostek w ścisłem tego słowa znaczeniu, istnieje tylko despotyzm kliki, związanej wspólnym interesem.

*

Dyskusja nad najlepszą formą rządu trwa już 25 wieków i pewno nie prędko się skończy, bo nie brak dla każdej z nich przykładów *pro* i *contra*. Jeden wniosek zatem pewny, że chodzi o jakość rządzących.

BŁĘDY DRUKU: W nr. 20 w art. „Majaki Studnickiego" na str. 308 w przypisku, wiersz 6 od dołu, powinno być „autysto", nie zaś „artysto"; w nr. 18 w tymże artykule na str. 275, szp. 1, w. 16 od dołu zamiast „subjektywna racja" powinno być „objektywna racja".

W rubryce „Nowe książki" w nr. 19, str 303, 2 szp., w. 11 od góry poprawić trzeba nazwisko autora. Jest nim Rafacz Józef (nie Rafur).

KRYTYCY O KSIĄŻCE KRYTYKA

O STUDJUM literackiem Zygmunta Wasilewskiego p. t. „Norwid” pisali dotąd: St. Cywiński (w osobnej broszurze i w kilku czasopismach), W. Charkiewicz (Słowo), prof. Sinko (Il. Kurj. Codz.), P. Grzegorczyk (Gaz. Warsz.), A. Czartkowski (Kur. Warsz.), I. Chrzanowski (Kur. Pozn.), S. Piasecki (Prosto z mostu), R. Ney (Głos), K. Wyka (Droga, mies.), W. Tarnawski (Kur. Lwow.), A. Grzymała-Siedlecki (Myśl Nar.), M. Piechal (Pion), J. E. Skiwski (Tyg. Ilustr.).

Ponieważ w naszem piśmie ogłoszona była prenumerata na książkę o Norwidzie, poczuwamy się do obowiązku zaznajomienia odbiorców z opinją krytyków. Przytaczamy dziś urywki z dwu recenzyj.

I

P. Kazimierz Wyka w miesięczniku „Droga” (nr. 2 z 1935) pisze o tej książce naogół pochlebnie, aczkolwiek nie pomija usterek. Oto jego słowa:

„Że poezja Norwida jest w znacznej mierze ezoteryczna, to jego prawo jako poety, lecz że nauka o Norwidzie od pierwszych swych początków w „Chimerze“ stała się nauką tajemną, to rzecz dużo gorsza. Tradycja ponadczasowego pojmowania Norwida ciągle wśród pewnych norwidystów trwa. Każdy przeto niezaślepiony miłośnik Norwida z wielkiem zajęciem, a nieraz podziwem, czytał artykuły Z. Wasilewskiego o Norwidzie, umieszczane od paru lat w „Myśli Narodowej“, obecnie uzupełnione i zebrane w książkę.

W jaki sposób wywiązał się Wasilewski z tak postawionego zadania? Metodą jego jest doskonale naogół przeprowadzana biografistyka psychologiczna. Zestawienie wszelkich dostępnych faktów, tyczących się Norwida i jego pochodzenia, jak również jego młodzieńczych przeżyć towarzyskich i literackich, po to, by poezję Norwida zinterpretować poprzez ów zespół zdarzeń i wskazać, jakie jego dalekie odciski psychiczne odczytujemy w utworach poety. Ta świetna biografistyka łączy się z drugą umiejętnością: wyczuciem idej filozoficznych, ukrytych w poezji Norwida, wraz z sztuką wydobycia z nich ogólnych konsekwencyj i wskazania, do jakich zbieżności one prowadzą. Nie jest to pospolite badanie wpływów i zestawianie tekstów. Wasilewski znaczy tylko chorągiewką strategiczną miejsce, które zbadać należy, adeptom polonistyki pozostawiając szczegóły.

Przyjrzyjmy się, co w pierwszym względzie nowego i słusznego przynosi książka Wasilewskiego. Najpierw ustalenie, czem była Warszawa w latach czterdziestych zeszłego wieku, wskazanie, z jakich ludzi składało się owczesne społeczeństwo literackie (s. 69 — 73). Wasilewski doskonale na tem tle wyjaśnia przyczyny przedwczesnego poczucia wielkości u Norwida. Lecz co w tej opowieści psycho-biograficznej jest najcenniejsze, to rozdział o „estetyzmie salonowym i dandyzmie“ (s. 90 — 103). Wasilewski z kapitalną intuicją wykazuje, jak bardzo ta młodzieńcza salonowość odcisnęła się na poezji i postawie życiowej Norwida. Znakomite są również uwagi o potrzebie i znaczeniu kobiety dla Norwida.

W całości książka bardzo cenna, pełna znakomitych uogólnień i książka odkrywcza! Wasilewskiego najważniejsze zdobycze są jego niezaprzeczoną własnością. Nasi odbronzowiacze, którzy tak głośno krzyczeli, gdy odbronzawiało się tylko pewne funkcje i narządy człowieka pełnego, mogliby, gdyby naturalnie na tym poziomie dyskutować umieli, uczyć się na niej, jak odbronzawia się całego człowieka, jak z ruin i fragmentów odtwarza się żywą osobowość, jak ustawia się ją w otoczeniu życiowem. Obok tak niesłusznie zapominanych prac biograficznych prof. St. Windakiewicza, ukazujących w zbliżony sposób sylwetkę żywego pisarza, jego całość duchową w związkach życiowych z jego chwilą, jest książka Wasilewskiego rzadką pracą podobnego rodzaju. Tem cenniejszą, że ożywiony został najbardziej skomplikowany i najtrudniejszy pisarz polski”.

II

W „Tygodniku Ilustrowanym” (nr. 20) w parę tygodni po zgryźliwym artykule prof. St. Cywińskiego ukazała się recenzja „Norwida“, napisana z brawurą przez znanego chlubnie krytyka J. E. Skiwskiego. Poświęca w niej wiele miejsca zatargowi pełnemu nieporozumień między filologją a krytyką, w związku ze stanowiskiem zajętem wobec Norwida przez Cywińskiego. O książce Wasilewskiego pisze p. Skiwski z uznaniem:

„Prof. Cywiński występuje w imieniu Nauki przez bardzo duże N. Metodzie Wasilewskiego odmawia naukowości, dyskwalifikuje ją. Jakaż jest ta metoda, na czem polega? — Posłuchajmy autora „Norwida“. „Niema mowy o zżyciu się z poetą dopokąd nie odnajdzie się punktów, z których on na świat patrzy“. Wasilewski stara się te punkty odnaleźć. Bierze dużą rozpiętość. Zajmuje się dziedzicznością Norwida, środowiskiem, z którego poeta wyszedł, jego zamiłowaniami, sposobem życia, ba, jego dość wyraźnie zarysowanym snobizmem towarzyskim, sublimowanym legendą i patosem historycznym, wnika głęboko w sferę, gdzie wizja poety styka się z wierzeniami ludu, z jego charakterem, ambicjami. Podnosi w bardzo ciekawych wywodach związek twórczości Norwida z pewnemi właściwościami psychicznemi mazurskiej szlachty. Stara się słowem o to, by zobaczyć, jak to było naprawdę, jak powstawała poezja Norwida. Chodzi mu o rekonstrukcję tego, co się dziło i jak się działo, o genetyczny opis zjawiska: Norwid.

Czy jego studjum o Norwidzie jest czy nie jest „naukowe“? Czy można mu zarzucić brak naukowości dlatego, że autor analizuje zjawisko „Norwid“ wszystkiemi metodami, które ma pod ręką, a wśród których znaczne miejsce zajmuje obserwacja, własne doświadczenia na różnych polach życia, to długoletnie wpatrywanie się w człowieka, które nietyle jest przywilejem zawodowych uczonych, co myślicieli i artystów? Wydaje mi się, że najwłaściwsza odpowiedź będzie ta, że dzieło Wasilewskiego jeszcze naukowe nie jest, ale może niem zostać. Wasilewski dał zrąb, pchnął obserwację na nowe tory. Dał wskazówki, pokazał drogę. Ze swojego punktu widzenia wyjaśnił w Norwidzie wszystko. Jest w tym portrecie ryzyko — ale piękne ryzyko. Ryzyko, przed którem nigdy nie ucieka małodusznie prawdziwy badacz. Bo on nie lęka się własnej wyobraźni, idzie na wiarę tam, gdzie nie można dostarczyć dowodów bezwzględnie pewnych. Wasilewski uczynił swój portret Norwida w wysokim stopniu prawdopodobnym. Co z tą pracą zrobi historja? Wiedza o Norwidzie będzie narastać, jak również wiedza o człowieku, psychologja w znaczeniu nie szkolarskiem, ale głębszem, humanistycznem. I dopiero w tem skrzyżowaniu prądów i narastaniu wiedzy pokaże się, o ile portret Wasilewskiego wytrzymuje próbę. Może w niejednem będzie wymagał korektury. Może. Ale już dziś powiedzieć można, że stoi on gatunkowo o wiele wyżej od prac polonistycznych o Norwidzie, zabójczo nudnych i banalnych. Jest rzeczą bardzo prawdopodobną, że właśnie tamte prace okażą się w przyszłości „nienaukowe“, a praca Wasilewskiego — odkrywczą. Wasilewski postawił pewną hipotezę Norwida (dla mnie przekonywającą). A cóż zrobili poloniści?

Jedno niechaj mi będzie wolno na koniec wyrazić życzenie. By Wasilewski dał nam jeszcze kiedy portret Sienkiewicza, opracowany tak szczerze, tak spokojnie, tak niepolitycznie i tak po literacku, jak ten wspaniały portret Norwida. Czy doczekamy się kiedy tego portretu? Czy autor „Norwida“ zechce go namalować? Któż to wie? Ale pewne jest, że bodaj on jeden w Polsce mógłby to zrobić.

TREŚĆ:

Adres Redakcji: Mokotowska 11 m. 5. Tel. 9. 25-46. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17. Tel. 9-87-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45. Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.

Druk. SPOŁECZNA. Pl. Grzybowski 3/5. Tel. 205-80. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM